ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK VII. Nr 29/317
LONDYN, 19 LIPCA 1953 R.

F. FRANKOWSKI

AKADEMIK TARLE ATAKUJE WATYKAN

W numerze z 1 kwietnia b. r., wydawanego po angielsku w Moskwie, tygodnika „New Times" zamieszczony został artykuł znanego historyka sowieckiego, akademika E. Tarle, pod tytułem: „Watykan udziela rozgrzeszenia imperialistycznym grzesznikom". Artykuł ten został też nadany, z długim własnym komentarzem, przez sowieckie radio. Twierdzenia wysuwane w tym artykule są tak nieprawdopodobne i tak paradoksalne, że po zapoznaniu się z nimi pierwszym odruchem jest przetrzeć oczy i zapytać się: czy to nie sen, bardzo zły sen?

Podstawową tezą akademika Tarle jest, że Watykan działa jako agent polityki amerykańskiej, a więc bankierów z Wall Street, Białego Domu, Departamentu Stanu, „Pentagonu" i innych tego rodzaju „imperialistycznych" czynników. W tej roli — twierdzi akademik Tarle — Watykan prowadzi akcję podżegającą do wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu, popiera politykę ucisku słabych państw przez silne, zachęca do grabieży mienia i do eksploatacji słabych narodów przez wielkie mocarstwa (zachodnie), popiera też stosowanie okrutnych metod prowadzenia wojny, a przede wszystkim zwalcza prawa poszczególnych państw do suwerenności na rzecz ustanowienia wszechwładzy rządów Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Na wywody sowieckiego akademika ostro zareagował „Osservatore Romano" artykułem (z dnia 4 kwietnia) swego naczelnego redaktora, pod znamiennym tytułem: „Zdradziecka napaść". „Czyż to możliwe!... Przecież świat cały — pisze z goryczą naczelny redaktor „Osservatore Romano" — codzień, od lat, słyszy te krwiożercze kazania, te okrutne nawoływania i nauki, te niewczesne błogosławieństwa i te nieszczęsne potępienia... wyrażone jednak (o dziwo), zawsze słowami, które oznaczają właśnie jak najbardziej jasno, wszystkiego tego przeciwieństwo!" Zaprawiony w wielu walkach polemicznych, doświadczony dziennikarz katolicki, nie może wyjść z podziwu, że to co Ojciec święty niestrudzenie głosi wobec opinii światowej w odniesieniu do zagadnień międzynarodowych może być tak bezceremonialnie, całkowicie zignorowane, a natomiast, że mogą być Watykanowi przypisywane intencje i opinie, z którymi nigdy nie miał nic wspólnego.

Z oskarżeniami akademika Tarle dyskutować właściwie nie warto. Po co dawać wrażenie, że bierze się je na serio. Wystarczy powiedzieć, że trudno dyskutować z kimś, kto na białe mówi czarne, gdyż albo świadomie mija się z prawdą, albo jest zupełnie ślepy. Jednak w artykule E. Tarle, poza napaściami na Watykan, poruszone zostały zagadnienia rzeczywiście zasługujące na omówienie i nie można się oprzeć pokusie, by nieco nad nimi się nie zatrzymać.

Przed tym jednak parę słów tylko o samej strategii ataku na Watykan. Punktem jej wyjścia jest — bo oczywiście jest to niezbędne dla osiągnięcia choćby najbardziej pozornego dialektycznego efektu — całkowite pomieszanie pojęć. Nie bardzo można się zorientować, kiedy akademik Tarle mówi o polityce amerykańskiej, a kiedy o Watykanie. Złączywszy Watykan i Stany Zjednoczone w swej myśli w jedną całość, przypisuje on Watykanowi odpowiedzialność za politykę amerykańską, resztą za jaką politykę amerykańską?! — Wysnutą z własnej swej imaginacji. W każdym razie, jeśli cytuje jakąś wypowiedź prasy amerykańskiej, czy poszczególnego Amerykanina — to zaraz za nią napada na Watykan. Polemizuje więc właściwie sam ze sobą, z fikcjami, które sam tworzy. Cytaty, które przytacza, są wyłowione z oświadczeń czynników nieodpowiedzialnych, w najlepszym razie z wolnej prasy, wyrwane z kontekstu, spreparowane według potrzeb. Najczęściej jednak nawet tak dobrane cytaty, nie potwierdzają bynajmniej dawanego do nich komentarza. Natomiast ani razu nie powołuje się na jakąkolwiek konkretną wypowiedź Watykanu; czy to nie dziwne? W ogóle artykuł sowieckiego historyka jest jakoby wywołany przez pojawienie się nowego wydania tzw. „Katolickiego Kodeksu" zasad międzynarodowych. Możnaby się spodziewać, że będzie go Tarle obficie cytował. Nic podobnego! Właściwie przytacza tylko parę cytat i zważcie to, czego wcale w nich nie ma. „Oto" — pisze — „parę wprost nie do wiary wierszy z Katolickiego Kodeksu; przytoczyć je należy dosłownie, gdyż wszelka parafraza może wydać się ostrą parodią". Cóż w tym „wprost nie do wiary" zdaniu jest powiedziane? Tekst ten jest następujący: „Wychodząc z mylnej koncepcji suwerenności państwa, wielu nie uznaje żadnego ograniczenia władzy państwa, prócz takich, jakie państwo samo zgadza się przyjąć. Państwo, według nich, samo stwarza, we własnym interesie, swoje reguły sprawiedliwości i uczciwości. Chrześcijańskie sumienie zawsze będzie odrzucało tak zuchwały postulat, który stawia samowolę zamiast prawa i otwiera drzwi dla wszelkiej tyranii". Z tego oświadczenia akademik Tarle wysuwa konkluzję, że Katolicyzm zaprzecza słabym państwom praw do suwerennego istnienia i rozporządzania własnym losem. Trudno zaiste o bardziej zabawną sofistykę. Z tekstu cytaty wynika jasno, że nie chodzi tu o suwerenność, jako określenie niezależności państw w stosunkach międzynarodowych, lecz o pojęcie suwerenności, jako niczym nieograniczonego prawa wszechwładzy państwa i ubóstwiania państwa, jak to właśnie jest przyjęte przez totalistyczny komunizm. Przeciwko tej teorii (nieograniczonej żadnym prawem moralnym wyższym) władzy państwa, jako jedynego źródła prawa, Kościół musiał protestować i zawsze będzie protestował, ponieważ Kościół jest wyrazicielem zasad moralnych i reguł życia opartych na podstawie dogmatów objawionych, a nie koncepcyj względnych, wynikających z samowoli rządzących. Kościół jest rzecznikiem praw moralnych absolutnych i obiektywnej sprawiedliwości, zasad nadrzędnych, które wszystkich ludzi i państwa obowiązują, i jeżeli odmawia uznania prawa wszechwładzy państwu — to czyni to nie jako rzecznik „polityki Wall Street", „Pentagonu", czy w ogóle polityki amerykańskiej, lub jakiejkolwiek innej polityki, lecz jako wyraziciel prawdy objawionej. Czyż nie wie o tym akademik Tarle? Po co ma zaglądać do nowego „Kodeksu" — wystarczy, by zajrzał do zwykłego Katechizmu.

Głównym jednak przedmiotem rozważań akademika Tarle jest, już nieraz w literaturze prawniczej rosyjskiej dyskutowana, kwestia tzw. „suwerenności". Pojęcie to, a więc i znaczenie tego słowa poprzez wieki ulegały znacznej ewolucji i przechodziły różne koleje. Suwerenność była początkowo postulatem władzy monarszej. Jak rzeczy się powtarzają! Przez szereg wieków kształtowało się to pojęcie w walce pomiędzy władzą świecką, a władzą nadrzędną Kościoła. Potem prawa suwerenne przechodziły stopniwo z monarchów na naród, czy też na państwo. Trzeba też ściśle określić, jaki zakres temu słowu się nadaje. Na ten temat literatura prawnicza jest ogromna. Nie ma tu miejsca na omówienie szczegółów tego zagadnienia. Ustalić tylko należy — bo inaczej będzie się mówiło o dwóch całkowicie odrębnych kwestiach, — że pojęcie suwerenności, jako pojęcie rzeczywistości współczesnej, może być używane albo w znaczeniu określenia praw właściwych czynników w państwie, powołanych do pobierania bezapelacyjnie jakichkolwiek decyzji z siłą prawną: np. Król, Parlament, Naród, lub też specjalnie w odniesieniu do dziedziny stosunków międzynarodowych.

W czasach obecnych, gdy współżycie międzynarodowe związało poszczególne państwa gęstą siecią wzajemnej zależności i niezliczoną ilością ograniczeń umownych we wszystkich dziedzinach i zmusza do ciągłego poszukiwania nowych umownych kompromisów, pole działania dla akcji istotnie suwerennej, w systemie współpracy pokojowej, jest z natury rzeczy niezmiernie ograniczone. Właściwie w dziedzinie stosunków międzynarodowych zasada suwerenności pozostała tylko, jak wyżej wspomniano, furtką prawnej asekuracji — na wypadek, gdyby żądania innych państw mogły wywołać potrzebę wycofania się ze stosunku umownego, lub wymagać zajęcia stanowiska w obronie własnego interesu, niezależnie lub wbrew, interesom państw innych. Jest to zachowanie prawa do kompletnego izolacjonizmu i ostatecznie do wojny, prawa odrzucania poddania się regule międzynarodowej na podstawie zasady, że „interes ojczyzny — jest najwyższym prawem". Do dramatycznego zastosowania tego prawa suwerenności w systemie pokoju jest zazwyczaj mało okazji; przyjęcie jednak zobowiązań, kasujących to prawo — czy to na zasadzie federacyjnej, czy uznania nadrzędnej nadpaństwowej władzy międzynarorodwej oraz przyjęcie bez zastrzeżeń jurysdykcji takiej władzy — jest dla państwa wielką i trudną decyzją. Suwerenność, jako synonim niepodległości w teorii (gdyż w praktyce często bynajmniej tak nie jest) w teorii jest prawną gwarancją, że dany naród, dane państwo, nie może być poświęcone całkowicie dla dobra ogólnego społeczności czy grupy międzynarodowej. Zrzeczenie się suwerenności, to jest przyjęcie zasady poddania się narodu woli większości narodów, stanowi zastosowanie w życiu międzynarodowym zasady demokratycznego rządzenia przez większość. Niestety w stosunkach międzynarodowych zasada ta nie może dziś jeszcze być przyjęta bez zastrzeżeń, a to dlatego, że istnieją nadal bardzo silne i bezwzględne egoizmy narodowe. Toteż dopóki istnieją, i pragną istnieć, oddzielne państwa narodowe, poddanie się regule większości może dla nich przedstawiać poważne niebezpieczeństwa. Gdyby egoizmy narodowe zniknęły na rzecz istotnie ogólnego dobra, reguła większości byłaby całkowicie usprawiedliwiona. Póki jednak egoizmy poszczególnych mocarstw nie tylko istnieją, lecz są uważane za najwyższy wyraz racji stanu i za najcenniejszy wyraz racjonalnej, „realistycznej" polityki, trzeba się liczyć z tym, że mocarstwo silniejsze lub grupa mocarstw, może świadomie, dla dogodzenia swym doraźnym egoistycznym interesom, łatwo poświęcić szczęście, a nawet istnienie tego czy innego państwa, narodu lub szeregu państw i narodów. Wtedy, szukając formuły dla swego faktycznego oporu, zagrożone państwo powołuje się na zasadę swej suwerenności. De facto suwerennie działa państwo, które ma na to siłę: zasadą prawną suwerenności — broni się państwo słabsze. Póki tak jest, szermowanie suwerennością ma sens. Póki np. może być brane pod uwagę, że dla ustanowienia „modus vivendi" pomiędzy wielkimi mocarstwami Zachodu i Związkiem Sowieckim trzeba poświęcić Polskę i dziesięć innych państw europejskich, to oczywiście z zasadą, że słuszna jest wola większości, wszystkie narody zgodzić się nie mogą. Póki więc istnieje tzw. „realistyczna" polityka, mająca na względzie egoistyczny interes a nie zasady moralności i sprawiedliwości we współżyciu międzynarodowym, obosieczna zasada suwerenności będzie zawsze broniona, nie tylko przez krzywdzicieli, którzy na niej opierają swe samowolne postępowanie i zasadą tą zasłaniają swój imperializm, ale i przez potencjalnych skrzywdzonych, którzy, broniąc się przed przemocą silniejszych, wysuwają postulat swego prawa do suwerenności. Toteż suwerenność, pojęcie o konstrukcji bliskiej do nacjonalizmu, nie posiada wartości absolutnej, lecz musi być sądzona w zależności od jej właściwego przejawiania się w praktyce. Nacjonalizmem bronią się małe kompleksy narodowe przed wchłonięciem ich przez wielkie; lecz jeżeli uświęcimy zasadę nacjonalizmu dla wszystkich, to oczywiście usprawiedliwiamy przemoc silniejszych kompleksów nad słabymi. Ideałem współżycia narodów jest niewątpliwie kompletna integracja: Rząd światowy — sprawiedliwy dla wszystkich, lecz ten ostatni warunek jest niezbędny. Jeden Pasterz i jedna owczarnia, lecz oczywiście pasterz musi być dobrym pasterzem. Natomiast zaganianie przemocą wszystkich owieczek pod rząd złego pasterza — jest sprzeczne ze szczęściem i interesami owczarni, która wtedy się broni swym prawem do życia w grupach odrębnych.

Można więc powiedzieć, że w teorii zasada uniwersalizmu jest jedynie słuszna, jednak musi być stosowana we właściwej treści. Zasada zaś suwerenności poszczególnych państw jest w teorii niesłuszna i szkodliwa, jednak, w pewnych okolicznościach, stanowi dla poszczególnych narodów element asekuracji przeciwko krzywdzie, mogącej być uczynioną przez egoizm większości. Klasycznym przykładem przejawu tego rodzaju pojęcia suwerenności, jest prawo „veta" w ciałach międzynarodowych, które istniało w statucie Ligi Narodów oraz istnieje dziś w statucie ONZ. Toteż należy przyznać rację akademikowi Tarle, gdy, jak wielu innych prawników konserwatywnych, broni dziś jeszcze prawa „veta". Lecz i tu, jak we wszystkich dziedzinach prawa ludzkiego, kwestia zastosowania w praktyce zasady prawnej, stanowi o jej wartości, usprawiedliwieniu lub potępieniu. Np. nadużywanie prawa „veta" przez Związek Sowiecki w Radzie Bezpieczeństwa ONZ tj. korzystanie z niego nie dla obrony zagrożonych żywotnych interesów państwa, lecz dla celów bieżącej, mocarstwowej lub agresywnej polityki, paczy całkowicie charakter tej gwarancji prawnej. Jeszcze raz na tym przykładzie widzimy, jak wartość wszelkich zasad prawa ludzkiego zależy przede wszystkim od użytku, jaki się z tych zasad czyni. Są one wynikiem doświadczeń życia, służą do celów praktycznych — sądzone więc być muszą według rezultatów. Inaczej się rzecz kształtuje w odniesieniu do prawd moralnych, objawionych, które we właściwym zakresie pozostają jako niewzruszalna podstawa współżycia ludzkiego.

Nie można posądzać akademika Tarle, by powyższe fakty nie były mu znane. Wie on dobrze, że Kościół będący w zasadzie zwolennikiem uniwersalizmu, zaleca w dziele integracji wielką ostrożność i rozwagę, właśnie ze względów powyżej przytoczonych. Skąd więc ta namiętna napaść na politykę Watykanu? Dlaczego Kościół katolicki jest uważany za przeszkodę na drodze do szerzenia komunizmu, a w szczególności Moskwy? Niewątpliwie dlatego, że opiera się na fundamentach stałych i absolutnych dogmatów, niezależnych od woli państw i rządów, i że posiada zasięg uniwersalny promieniowania moralnego. Powszechność Kościoła jest przedmiotem specjalnej niechęci komunizmu, który sam dąży do uniwersalizmu właśnie dla siebie i tylko dla siebie, pragnie zmonopolizować. Budując współżycie ludzi na ubóstwieniu totalistycznego organizmu państwowego — komunizm w nim widzi jedyne źródło prawa i moralności na świecie. Dogmatyzm prawd objawionych i ich uniwersalizm stoi na przeszkodzie monopolowi komunistycznego państwa, stąd chęć zwalczenia tej przeszkody, bądź przez wpływ, w poszczególnych krajach oderwać katolików od łączności ze Stolicą Apostolską, starając się przedstawić jej interesy w najciemniejszych barwach. Nie wydaje się, by tego rodzaju propaganda mogła trafić do przekonania katolików, zbyt dobrze wiedzą, czym jest Kościół i Tron Piotrowy. Jednak kampania oszczercza może dać pewne rezultaty w kołach ateistycznych, a nawet do pewnego stopnia, w kołach wyznawców innych wyznań i religii, którym działalność Kościoła jest mało znana i którzy są zasadniczo negatywnie ustosunkowani do katolicyzmu. W ten sposób propaganda antykatolicka komunizmu, może osiągnąć do pewnego celu, że przez szerzenie zamętu pojęć w tych zasadach, bronią świat wolny. Dlatego takie artykuły drukuje w językach obcych. Jeżeli chodzi o masy narodu rosyjskiego, to niestety,

(Dokończenie na str. 4)

OSTATNIA POWIEŚĆ MAURIACA

Wśród jesiennych nowości, które ukazały się w znanym domu wydawniczym paryskich, éditions Grasset, figuruje i powieść nowego laureata literackiej nagrody Nobla, François Mauriaca, dobrze znanego pisarza katolickiego, zatytułowana: „Le Mal" (Zło). Powieść ta ma swoją historię, którą opowiada nam sam Mauriac w przedmowie do tej książki. Napisana była dawno, bo wyszła po raz pierwszy w nieistniejącej dziś „revue", „Demain" (Jutro), lecz autor był tak z niej niezadowolony, uznając, że ją napisał zbyt szybko, iż nie pozwolił na jej wydanie książkowe. Zrobiono tylko 14 egzemplarzy, w tym dwa dla autora. W 1936 r. Mauriac powrócił do tej powieści, odbito wtedy 3.000 egzemplarzy, a prócz tego parę rozdziałów wyszło w bardzo ograniczonej ilości egzemplarzy z ilustracjami w 1926 r. w Librairie Au Sans Pareil. Teraz Mauriac znowu powrócił do tej powieści i włączył ją w jej nowej formie do pełnego wydania swych dzieł. Jak sam twierdzi, zdecydował się na to głównie z tego powodu, że „Le Mal" w tłumaczeniu p. Gérard Hopkins miało niezwykłe powodzenie w Stanach Zjednoczonych, gdzie, jak również twierdzi sam Mauriac, dzieła jego cieszyły się o wiele mniejszym powodzeniem, niż w Anglii.

Głównym tematem powieści jest problem katolickiego wychowania dzieci, a specjalnie chłopców. Teresa Dézaymeries została wychowana arcysurowo w starej i bogatej rodzinie mieszczańskiej z tradycjami. W rodzinie ciasnych poglądów. „Była to, pisze Mauriac, jedna z tych „dobrych rodzin", gdzie każdemu członkowi udaje się znosić innych tylko dzięki cudom cnoty i wierze w nagrodę wiekuistą". Teresa ma starszą siostrę, która ma okropny charakter, i z którą zresztą rozejdą się na zawsze z powodu podziału spadku po rodzicach. Jedynym promieniem jasnym w szarym życiu Teresy jest mała dziewczynka Fanny, Irlandka, sierota, oddana pod opiekę swego wuja, wspólnika ojca Teresy. Ten wuj, człowiek lekkich obyczajów, umieścił małą w klasztorze na pensji, ale nie wiedząc, co z nią zrobić w czwartki, gdy miała prawo odwiedzać rodzinę, powierzał ją Teresie, która przywiązała się głęboko i serdecznie do Fanny. Lata minęły. Teresa wyszła za mąż, miała dwóch synów; młodszy syn, Fabian, bohater powieści, urodził się już po śmierci ojca. Owdowiawszy młodo, Teresa postanowiła poświęcić się praktykom religijnym, dobrym uczynkom i swoim dzieciom, wyrzekając się świata i stosunków towarzyskich. Synów stara się wychować na ludzi doskonałych moralnie. Starszy, Józef, już od najmłodszych lat zdradza powołanie do stanu duchownego, nie ma z nim kłopotu. Przy tym jest wątły, chuderlawy, nieładny i bardzo spokojnego charakteru. Ale inaczej ma się rzecz z Fabianem. Chłopak po ojcu odziedziczył urodę, silny organizm i naturę zarazem marzycielską i namiętną. Pociąga go świat i życie, ciasno mu w tych ramach egzystencji, jakie zakreśliła mu matka. Rzecz dziwna: Teresa tego właśnie syna kocha najwięcej, choć się sama przed sobą nie chce do tego przyznać. Lecz zatopiona w modłach i dobrych uczynkach, oderwana od rzeczywistości, nie zdaje sobie sprawy z tego, że temu właśnie ukochanemu synowi trzeba by silnej męskiej ręki i innego systemu wychowania.

Jedyną nicią, łączącą Teresę i jej synów ze światem tzw. „frywolnym" jest Fanny, która po skończeniu pensji wróciła do Irlandii i wyszła tam za mąż, za oficera marynarki angielskiej. Małżeństwo okazało się niedobrane i Fanny rozstała się z mężem, o czym nie wie Teresa. Młoda kobieta prowadzi życie niezbyt cnotliwe. Zarabia dość dobrze handlując antykami, które wyszukuje, podróżując po całym świecie. Dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i w ciągu lipca przyjeżdża do Teresy. Wprawdzie toalety Fanny, jej rozmaite kosmetyki i perfumy, a gorzej jeszcze brak wiary, przerażają Teresę, ale przypisuje winę tego wszystkiego mężowi Fanny i kocha ją, jak dawniej. Chłopcy kochają ją również za mnóstwo prezentów i łakoci, jakimi ich zasypuje, a nade wszystko za ten powiew z innego, niedostępnego im świata, który wnosi do ich domu.

Znowu mijają lata. Chłopcy dorastają, zdali maturę. Józef wstąpił do seminarium, Fabian do Ecole des Chartes, matka umieściła go w pensjonacie, gdzie chętnie mieszkają księża i starsi panowie. Fabian uczy się dobrze, ale często odczuwa jakiś niepokój duchowy. Józef zapada na zdrowiu i Fabian musi go odwieźć do domu: gruźlica. Teresa nie ukrywa synowi, że nie ma nadziei uratowania go, chce, aby mógł się dobrze przygotować na śmierć, lecz na żądanie lekarza oddala Fabiana od brata, aby uniknął zarazy.

Po śmierci Józefa, w dzień wilii, Teresa i Fabian są sami w domu i wybierają się na Pasterkę. Wtem zjawia się Fanny, która od dwóch lat nie przyjeżdżała do przyjaciółki. Wie już o śmierci Józefa i może myśląc, że wielki ból uczynił Teresę pobłażliwszą, wyznaje jej, korzystając z chwili nieobecności Fabiana, że rozwiodła się z mężem i wyszła po raz drugi za mąż. Teresa jest przerażona i tym wyznaniem i wykrzyknikiem Fanny zdumionej na widok pięknego Fabiana: „ależ to już dorosły mężczyzna!". Przyjaźnie, lecz stanowczo, prosi Fanny, aby natychmiast opuściła jej dom i nie wracała nigdy. Będzie się za nią modlić, pokutować, ale nie może jej przyjmować, jak dawniej. Fanny nie rozumie, buntuje się, bluźni, wzywa na pomoc Fabiana, lecz ten milczy i posłuszny woli matki, opuszcza pokój. Teresa pozostaje nieubłagana. Fanny odchodzi, lecz wraca po chwili, idzie do pokoju Fabiana i zanim na wpół śpiący chłopak zdołał zrozumieć ją, całuje go mocno i ucieka.

Ten pocałunek zerwał jakąś tamę w duszy Fabiana. Dręczy go niepokój, unika matki; gdy przyjeżdża do domu, spędza całe dni w lesie, lub w polu. Teresa pyta księdza, czy nie powinna by zacząć przyjmować gości i myśleć o ożenieniu syna. Ksiądz radzi podróż do Włoch, a głównie do Rzymu. Fabian wyjeżdża, lecz zamiast do Rzymu jedzie do Wenecji. I tu spotyka przypadkiem Fanny z jej drugim mężem. Jest on impresariem artystów. Są w towarzystwie tancerza Cyrusa Bargues. Donald Larsen, mąż Fanny, musi jechać z Cyrusem do Szwajcarii, wbrew woli Fanny, więc, aby ją pocieszyć, powierza ją opiece Fabiana z całym cynizmem dodając, że Donald odbierze ją po powrocie...

Fabian zostaje kochankiem Fanny. Romans wymęczony, burzliwy, żałosny. Trochę przypomina chwilami najlepszą może powieść Marcelle Tinayre „La Maison de Péché" i „Sapho" Daudet'a, pierwszą skrupułami religijnymi i moralnymi kochanka, drugą fatalnym, dziwnym wpływem starej kochanki na bardzo młodego człowieka. Mauriac wprowadził poza tym jeden nowy element. Fabian poznaje u Fanny córkę Donalda z pierwszego związku, wychowaną w klasztorze, jasną, młodą dziewczęcą postać, zabłąkaną, tak jak i on, wpośród artystycznej cyganerii. Młodzi kochają się, lecz Donald i Fanny czuwają. Fanny, która zawsze miała manię samobójczą, truje się, a Donald wywozi „małą" do klasztoru w Belgii. Fabian zrazu wraca do chorej Fanny, lecz gdy dowiaduje się, że listy jego do „małej" przejęto, że młoda dziewczyna chce zostać zakonnicą, zapada ciężko na zdrowiu. Otacza go opieką jego kolega z Ecole des Chartes, Mainz, Żyd, który lepiej niż kto inny, zdaje sobie sprawę z tragedii Fabiana i jego walk wewnętrznych. Lepiej też, niż ktokolwiek inny, rozumie, że tę młodą duszę rzucono w świat, nieprzygotowaną na pokusy, nieuzbrojoną przeciw życiu. Albowiem, jak powiada autor, „kobieta sama nie może zrobić z dziecka mężczyzny".

Przyjeżdża matka, zawsze równie cnotliwa i pobożna, ale i równie daleka od życia i jego rzeczywistości. Dowiaduje się nareszcie, że chodzi o Fanny, która odbywa swą kurację na Riwierze u przyjaciółki i stamtąd przysyła kwiaty Fabianowi, nie wiedząc nic o jego chorobie. Po przyjęciu Ostatnich Sakramentów Fabian czuje się lepiej, kryzys minął. Fabian zerwał z Fanny przestając odpowiadać na jej listy. Co teraz z nim będzie? Może kiedyś Franciszek Mauriac odpowie na pytanie. Tymczasem w końcu powieści powiada, że właściwie teraz należałoby zacząć powieść o Fabianie. Lecz, dodaje, „dramat wewnętrzny człowieka, który przezwycięża swoje ciało z gliny i błota, dramat, którego nie zdradzają ni słowa ni gesty — jakże go opisać? Jakiż artysta ośmieliłby się wyobrazić sobie wędrówki i wybiegi Łaski, tajemniczego protagonisty?" Bo artyści słowa, zdaniem Mauriaca, mogą malować prawdziwie tylko namiętności.

Charaktery Teresy, Fabiana, Donalda i Cyrusa Bargue, zarysowane są mocno i wyraziście. Nieco we mgle pozostają Józef i mała Colombe, ale godzi się to doskonale z ich młodością, jeszcze w pół dziecinną. Kilkoma rysami zaledwie, ale ciekawie, zarysowana postać Mainza. I jak we wszystkich powieściach Mauriaca człowiek musi za życia przejść przez piekło grzechu i męki, aby wynieść z niego przy pomocy Bożej swoje własne JA.

Maria Kasterska

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Powrót chłopców Finaly. Od szeregu miesięcy sprawa chłopców Finali zaprząta opinię publiczną nie tylko we Francji, ale i w innych krajach Europy. Nie chodzi bowiem w ich wypadku jedynie o dwóch chłopców, ale o problem, czy i w jakich okolicznościach można i należy chrzcić dzieci rodziców niekatolickich. Powrót chłopców nie rozwiązuje problemu i dlatego katolicki tygodnik „La France Catholique" pisze, że chłopcy potrzebują bardzo naszych modlitw.

W trosce o moralność publiczną. Komunikat rządu hiszpańskiego oznajmia, że zostały wysłane instrukcje do wszystkich miejsc kąpielowych w Hiszpanii, ażeby zapewnić ścisłe przestrzeganie reguł przyzwoitości.

Msza św. przez telelewizję. 28 czerwca z kościoła św. Gedeona w Kolonii została transmitowana po raz pierwszy w Niemczech przez telewizję Msza św., tytułem próby. Promotorem telewizyjnych transmisji Mszy świętych jest komisja katolicka dla telewizji.

Episkopat katolicki w sprawie imigracji. Konferencja Episkopatu katolickiego w Kanadzie poruczyła stowarzyszeniu „Societaté Canadienne d'Etablissement Rural" zajęcie się sprawą imigracji. Organizacja ta zajmuje się szczególnie łączeniem członków rodzin rozproszonych na skutek wypadków wojennych. Umożliwiła ona w ostatnich 18 miesiącach osiedlenie się w Kanadzie 62 rodzin, a w najbliższej przyszłości będzie mogło za jej staraniem przyjechać do Kanady dalszych 87 rodzin.

Katolicki periodyk bibliograficzny. Ukazał się już drugi numer periodyku bibliograficznego, wydawanego przez Unię Katolickich Wydawców Włoskich (UECI). Numer ten zawiera na 24 stronach wyliczenie około 150 dzieł wydanych w ostatnich miesiącach przez firmy wydawnicze katolickie, artykuł o pojęciu „książka katolicka", wywiady z biskupem Fultonem J. Sheenem i z Bruce Marshallem, omówienie działalności wydawniczej Włoskiej Młodzieżowej Akcji Katolickiej, jako też informacje o działalności wydawców katolickich.

Uznanie uniwersytetu oksfordzkiego dla Papieża. Ambasador włoski przy Stolicy Apostolskiej był wyrazicielem wdzięczności uniwersytetu oksfordzkiego dla Papieża za przyczynienie się do reorganizacji katolickiego centrum na tym uniwersytecie. Wyrazy tej wdzięczności zostały zakomunikowane włoskiemu szefowi rządu de Gasperi w czasie uroczystości wręczenia mu w Oksfordzie dyplomu doktora honoris causa.

Dar Ojca św. dla Czerwonego Krzyża. Ojciec św. ofiarował międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi sumę 10 tysięcy dolarów. Stolica Apostolska jest od początku sygnatariuszem Konwencji Genewskiej z r. 1864 i jedna z pierwszych ratyfikowała zrewidowane i nowe konstytucje z r. 1949. Przez dar swój Papież odpowiedział szczodrze na rezolucję konferencji dyplomatycznej z 1949 r., która wezwała sygnatariuszy konwencji do podtrzymywania działalności Czerwonego Krzyża.

Mszał w języku eskimoskim. Po trzech latach żmudnej pracy misjonarze Jan L'Helgouach i Maurycy Métayer przygotowali Mszał w języku eskimoskim, w alfabecie łacińskim. Ażeby ułatwić zdanie sobie sprawy z trudów drukowania Mszału w tym języku, podaje KIPA (Katholische Internationale Press Agentur), że np. Majestat Boży znaczy w tym języku kraamagiyatoaluutiptingnum, a tego rodzaju są prawie wszystkie wyrazy na 407 stronach dzieła.

Artykuł ŻYCIA na łamach „Osservatore Romano". „Osservatore Romano" z 30 czerwca podał w obszernych wyjątkach artykuł naszego pisma, podpisany „Romanus", pod tytułem: „Nieprzyjaciele Stolicy Apostolskiej są nieprzyjaciółmi Polski".

Filmy do nauki katechizmu. Kompania Filmowa San Paolo wydała 50 małometrażowych filmów przedstawiających najważniejsze części nauki katolickiej. Filmy te będą służyć we Włoszech jako pomoce naukowe przy katechizacji dzieci

Apostolstwo książki w Japonii. W ciągu kilku lat od zakończenia wojny wydawnictwo salezjańskie „Don Bosco" w Tokio wydało wiele książek religijnych w języku japońskim. W r. 1952 ukazało się 27 nowych książek i 11 ponownych wydań w ogólnej liczbie 96.500 egzemplarzy, przy czym przeciętna ilość stron wynosiła ponad 230. W ciągu pierwszych czterech miesięcy obecnego roku wydanych zostało 9 książek i 1 ponowne wydanie w ogólnej liczbie 37.000 egzemplarzy. Wśród tych książek jest seria medytacji liturgicznych w siedmiu tomach, myśli św. Jana od Krzyża, traktat o nabożeństwie do Najśw. Marii Panny św. Grignion de Monfort, Marmiona „Chrystus ideałem zakonnika", Daniela Ropsa „Ludzie Biblii". Szerzenie Ewangelii jest największą troską wydawnictwa „Don Bosco"; wiele wydań zostało wyczerpanych; rozpowszechniono ponad 69.000 egzemplarzy.

BEATA OBERTYŃSKA

ZIARNKA PIASKU (I)

Wszystkie postacie w tym opowiadaniu, począwszy od ojca i matki a skończywszy na Malwinie i Edmundzie, tak jak sama ich historia — są nieprawdziwe.

Całość jest zlepkiem szeregu zauważonych, na nitkę bądź jakiej fabuły nawleczonych szczegółów, w przelocie chwyconych typów, okruchów czyjejś powierzchowności, najdowolniej zniekształconych sytuacji i podobnych czasem, lecz też przeinaczonych wnętrz.

Prawdą jest tylko stary Jan i ja... No i łabędzie ostatecznie...

Nigdy nie wiadomo, skąd się coś weźmie i dlaczego takie właśnie, nie inne...

Wracałam do domu z Izby Skarbowej. Godzina jakaś pierwsza, pół do drugiej. Plac Św. Ducha leży przede mną w słońcu, prawie pusty. Mam na sobie granatowy kostium z lekkiej wełny, białą bluzkę i idąc, widzę raz po raz czarne nosy moich białych, lakierem obłożonych trzewików.

Od dłuższego czasu coś się już za mną ciągnie. Jakiś nieuchwytny nastrój, który wlokę za sobą od rynku, jak nitkę pajęczyny, zdjętą przypadkiem z krzaka. Jeszcze nie wiem, co to jest, ale czuję, że coś chce mi się przypomnieć...

Idąc tu załatwiłam parę sprawunków. Kupiłam puder i szampun w mijanej perfumerii, a potem umyślnie przeszłam cienistą zawsze o tej porze, wilgotną stroną ratusza, gdzie rezydują kwiaciarki. Lubię te mokre, zawalone kwiatami stoły, te pełne kwiatów wiadra i kosze obok i opalone, szerokie baby, w perkalowych kaftanikach i chustkach na głowie. A nade wszystko ów jedyny, niezapomniany zapach mięty i ogórków, lilii i kopru, zmieszanych z zapachem polanych wodą i schnących teraz kamieni! I lubię jeszcze kochany, leniwy, rzadko z tak bliska słyszany, głos bijącego godzinę ratusza.

I tam się to do mnie przyczepiło... Jak źdźbło do podeszwy. Z bardzo daleka i z bardzo dawna zaczęło podpływać ku mnie nieuchwytne jeszcze, jeszcze nie rozeznane, ale już na pewno obecne.

Cofnęło się potem na dłuższą chwilę mego wałęsania się po chłodnych korytarzach Izby, podczas szukania właściwego urzędu, właściwych drzwi, właściwego okienka. Aż teraz, na placu Św. Ducha uczułam je znowu. Zapach perfumerii, potem zapach lilii i kopru, a teraz, nagle, ten rozgnieciony stopą mały, zielony kasztan, o bezradnych, niestwardniałych jeszcze kolcach...

Prawda! Mademoiselle Sylvie, pani Tamska, stary Jan, Edmund, Malwina... Boże dobry! Mam nagle znowu sześć mizernych lat, ostrzyżoną po tyfusie głowę, kieszeń pełną włochatych kulek młodych kasztanów... Co się stało?

Nie. Nic się nie stało. Idę placem Św. Ducha, mam granatowy kostium, białą bluzkę i widzę błyski słońca, na czarnych nosach moich białych trzewików. Na palcu kołysze mi się zawiniątko z pudrem i szampunem... A nade mną, wysoko bije ratusz...

I tak to do mnie wróciło.

Z bezmiaru rzeczy, które były i odeszły, wybrało się własnowolnie i uderzyło we mnie falą tak urokliwego wspomnienia, że chyba słowami dopiero potrafię się z tego wyplątać.

Nie będzie to opis żadnego zdarzenia. Trudno to nazwać. Jest to raczej zlepek szeregu błahych, potocznych codzienności, które jednak stanowiły epokę w moim życiu — epokę o własnej barwie, smaku i zapachu. Wydźwignęło się to raptem na powiechrzchnię, niczym osobna, dawno w wodę zapadła wysepka i chcę ją, nim znów zniknie, obejść pamięcią i słowami, w „poszukiwaniu czasu", który był, a nie jest, w tęsknocie za tym wszystkim, co jest, choć go nie ma, w żałosnej pogoni za tą, którą byłam, a którą nie jestem...

Rzecz dzieje się przed potopem. Gdzieś u tamtego brzegu moich lat...

Mademoiselle Sylvie, moja pierwsza, najdawniejsza Francuzka, była czymś w rodzaju horyzontu. Ja byłam w środku, Mademoiselle dookoła.

Nie mam pojęcia, czy byłam do niej przywiązana. Wiem tylko, że uważałam, że Mademoiselle musi być i to taka, jaka jest i że na to nie ma rady. Zdaje mi się, że była dla mnie dobra. Nudziła mnie tylko strasznie. Tym, że była zawsze jednakowa. Tak jej żart, jak nagana, tak jej czułość, jak oschłość, były zupełnie do siebie podobne. Znaczyły tylko każde co innego. Niczego nowego nie można się było od niej spodziewać. I to właśnie było takie nudne.

Wyglądała też zawsze jednakowo. Szczupła, wysoka, z wcięciem, jak osa, niesłychanie schludna i staranna. Łańcuszek od zegarka nosiła okręcony wokół pasa i dzwoniła, jak nikt już potem na świecie, zatrzęsieniem najrozmaitszych breloków i „porte bonheur'ów". Nie pamiętam jej w negliżu, tak, jakby się nigdy nie rozbierała i nie ubierała. Jakby ją Pan Bóg taką stworzył, gotową. Nie zdaję sobie też sprawy, w jakim była wieku. Po Francuzkach w ogóle trudno to poznać. W każdym razie nie była już młoda. Trzymała się prosto, jak kręgiel. Znałam dobrze nikły chrzęst fiszbin jej gorsetu i szelest gumowych podpasek. Nie miałam oczywiście pojęcia, co w niej tak szuści, a ponieważ nie wiedziałam, ogromnie to lubiłam. To jedno było w niej ciekawe i tajemnicze.

Gdybym ją chciała określić jednym słowem, powiedziałabym, że była bezpieczna. Tak ją odczuwałam. Wiedziała zawsze, co powiedzieć, jak się zachować. Na wszystko miała odpowiedź i radę. Czy skałka w palcu, czy węzełek na nitce, czy odklejona peruka lalki, czy inne takie nieszczęście, znajdowało ją zawsze przygotowaną i pewną siebie. Nic złego nie mogło mnie spotkać, póki była blisko. Nawet przechodzenia przez jezdnię nie bałam się wcale, kiedy mnie prowadziła za rękę.

Tak. Mademoiselle składała się z samych zalet. Cóż, kiedy mnie tak strasznie nudziła! Nawet jej bajki były nudne. Wiecznie tylko grzeczne, albo niegrzeczne dziewczynki, tylko zjedzone, albo niezjedzone obiady, czujny piesek, lub głodny kotek. Czarownicy, królewny, smoka, czy krasnoludka nie doprosił się u niej nikt.

Od tego była Marysia, niania mego braciszka, Karola. Krępa, gorąca, potem i krochmalem zalatująca dziewczyna, którą lubiłam bardzo i która mnie bardzo lubiła. Z tą rozumiałyśmy się doskonale, tyle, że Mademoiselle kosym okiem patrzyła na naszą przyjaźń. Może miała rację. Opowiadania Marysi roiły się od diabłów, duchów i straszydeł. Ale ja wolałam się bać, niż nudzić. Marysia opowiadała mi też często swoje sny. Nic a nic nie rozumiała, ale strasznie lubiłam ich słuchać. Przy tym Marysia znała mnóstwo piosenek, daleko zabawniejszych od uprzykrzonego „Sur le pont d'Avignon", którym mnie zawsze częstowała Mademoiselle. Nie wiedziałam tylko, dlaczego, na odgłos zbliżających się breloków, Marysia urywała często o „Kasi z Jasiem w ciemnym lasku" i zaczynała pobożnie buczeć „Bernardkę". Pod byle pretekstem zabierana byłam od Marysi, ale taktownie, tak, aby żadnej z nas nie urazić. W ogóle stosunek Mademoiselle do Marysi był więcej niż poprawny. Jakkolwiek polszczyzna Mademoiselle, doszedłszy do bardzo niskiego stopnia rozwoju, zawiędła jakby przed dojrzeniem, umiały się świetnie porozumieć. I nie dość tego. Ponieważ Marysia nie umiała czytać, pełna najlepszej woli Mademoiselle pruła się czasem po bohatersku przez różne wzniosłości czytanego jej głośno parafialnego pisemka. (Marysia należała do jakiegoś stowarzyszenia i na niedzielę wkładała do kościoła ogromny niklowy medalik na niebieskiej wstążce. To ją niesłychanie w moich oczach podnosiło.) Gdy jednak zdarzyło się, że Marysia przyniosła kiedy brukową gazetę, o tłustych, sensacyjnych nagłówkach. Mademoiselle bardzo stanowczo odkładała ją na bok, do czasu, kiedy pójdę spać. Była to więc osoba naprawdę ze wszech miar godna zaufania. Jej można było dzieci zostawić z zamkniętymi oczyma, a takiej właśnie osoby potrzeba było dzieciom naszego ojca.

Nie mówię tego z przekąsem. Po prostu stwierdzam. Choć miałabym może prawo gorzko wspominać dzieciństwo, nie robię tego nigdy. Przeciwnie. Nawet owe odległe, nudne, zimowe wieczory — które tak dobrze pamiętam — mają dziś dla mnie swój urok.

...Duży, pusty, ciemny dom, niska lampa nad stołem. Karol śpiący za siatką. Marysia z pończochą na grzybku. Monotonny, utykający głos Mademoiselle a nade wszystko moja rozległa pobożna senność, o jaką przyprawiała mnie zawsze, owa nierozumiana, parafialna lektura.

O mamie nie mówiono mi nigdy. Pamiętałam ją raczej oczyma, niż sercem. Nie miałam pięciu lat, kiedy wyjechała. Pokojowa Hania wzięła mnie na ręce i zaniosła do ciemnego salonu. Policzek miała gorący i wiem, że płakała. Posadziła mnie na oknie, nosem przy szybie i patrzyła razem ze mną w ciemną, drzewami rozkołysaną ulicę. Przed furtką stał fiakier z podniesioną budą, a Józef ładował właśnie kuferki na kozioł. Potem tak zachuchałam szybę, że nie widziałam nic, prócz mglistej tęczy wokół latarni i zdaje mi się, że mnie to daleko bardziej zajęło, od tego, co się tam działo na dole.

Razem z tą tęczą z szyby, znikła z mego życia mama.

Szczegółów rozejścia się rodziców nie tykam. Nie chcę ich winić, czy bronić. I choć czasem, później zwłaszcza, czułam do matki krztuszący żal o to, że mimo wszystko potrafiła nas tak zostawić, miałam też i takie chwile, kiedy ją aż nadto dobrze rozumiałam.

Ojciec, to było pojęcie składające się z pewnej dozy lęku, czci i zapachu cygar. Na pewno dobrych cygar, bo ojciec musiał mieć wszystko w najlepszym gatunku. Kiedy czasem — pod jego nieobecność oczywiście — zakradałam się do gabinetu, zapach wystygłego dymu trwał tam w powietrzu poważny, srogi, wyraźnie nieprzychylny dziecku. Coś z tego odniesienia się do nas miał i ojciec. Nigdy nam nie mógł zapomnieć, że jesteśmy dziećmi osoby, która się przecie wyłamała jego poprawnej tyranii i poświęciła wszystko — nawet nas — za cenę wolności. Widywałam go rzadko i na krótko. Był to pewnego rodzaju rytuał. Stawał w drzwiach naszego pokoju, już w płaszczu, w niepokalanie białym szaliku na szyi i — nie odrywając ręki od klamki —pytał Mademoiselle o nasze zdrowie, o to, czy byliśmy grzeczni, czy nam czego nie potrzeba... Mademoiselle odpowiadała rzeczowo i zwięźle, on mówił: „No tak, no tak, to doskonale..." i odchodził. To było zwykle rano. Wieczorem tylko nasz pokój bywał oświetlony. Reszta domu leżała przy ulicy ciemna. Usypiając, wiedziałam dobrze, że ojciec jeszcze nie wrócił.

Miałam wrażenie, że tamte puste, czekające go pokoje, stają się na noc lżejsze, drążone, i że miast rzeczy, wypełnia je tylko ciemność galaretowata, jak ta, którą widywałam pod zamkniętymi powiekami. Przy lampie pamiętam ojca raz tylko jeden w naszym pokoju. Było to w czasie mego tyfusu. Przyszedł z doktorem. Nieprzychylny zapach cygar i obcego męskiego ubrania wszedł razem z nimi. Zrobiło się dziwnie obco w powietrzu. Poza tym nie wchodził do nas nigdy. Uważałam to za proste. Widocznie tak się robi. Mamy odjeżdżają fiakrem, ojcowie nie mają czasu, a przy dzieciach zostaje nudna, bezpieczna Mademoiselle. W porządku.

Świat mimo tego był cudowny! Strasznie ciekawy! I taki rozmaity. Dzień był mi zawsze za krótki na skonsumowanie wszystkich jego możliwości. Choć się absolutnie nic nie działo, powietrze wokół mnie roiło się od wydarzeń. Dom miał pełno zakamarków, które zaludniałam sobie czym chciałam, bo przedmioty, meble, kąty, cienie i kolory, były mi daleko bardziej żywymi towarzyszami tych czasów, od Mademoiselle. Karol się wtedy wcale nie liczył. Nie było na niego miejsca w moim ówczesnym świecie. Był po prostu nie do zastosowania, chyba jako coś ciepłego, gładkiego, co można prędko uściskać i pocałować. Dlatego ważniejsza była Marysia mimo szorstkich rąk i łupieżu w rozdziałku.

Najważniejsza jednak byłam sobie ja sama! Z nikim nie bawiłam się tak dobrze. Cóż to był za nieporównany, wszystko w lot chwytający mój towarzysz — ja! Nudzić mogli mnie tylko inni. Ja dla siebie samej nie byłam nigdy nudna.

Ogromną rolę w moim życiu grały wtedy lustra. Lustra zresztą uważam do dziś, za coś o wiele więcej, niż rzecz.

Było ich w domu dużo i rozmaitych. Najlepiej lubiłam to wąskie, w jadalni i to na załamaniu schodów w hallu. Widziałam się w nich w całej kilkuletniej swojej krasie, od ostrzyżonej głowy po chude nogi. Kiedy schodziłam ze schodów, nie czułam wcale, że to schodzę ja, tylko, że schodzi tamta naprzeciw mnie. Ruszałam się jej nogami. Mademoiselle pedagogicznie odciągała mnie od luster, jak od złego towarzystwa. Mówiła, że grzeczne, dobrze wychowane dziewczynki nigdy się nie mizdrzą. Nie rozumiała mnie oczywiście. To chude, brzydkie dziecko, o sprytnym spojrzeniu burych oczu, to nie byłam wcale ja, tylko ktoś, kto mi na całym świecie, najlepiej odpowiadał. A jeżeli przebierałam je czasem w co popadło, jeśli na szydełkową kapkę z łóżeczka Karola, zawieszoną jak welon na szorstkiej głowie, wbijałam swoją haftowaną, zakopiańską czapczynę, to nie dlatego, aby m n i e było w tym ładnie, tylko po to, aby t a m t a była inna niż zawsze. Mogłam z nią też rozmawiać godzinami. Byle mi dali. Cóż, kiedy Mademoiselle systematycznie tępiła te moje lustrzane monologi, które, jak się dziś orientuję, musiała uważać w dodatku za przejaw jakichś atawistycznych, aktorskich obciążeń ze strony matki. Może było w tym i tego trochę. To jedno pewne, że wymykałam się do siebie do lustra, tak prawie, jak do Marysi.

Nie większe od salonowego dywanu, dwa skrawki trawnika z okrągłą leguminką grządki po środku — były całym naszym ogrodem. Rozścielały się od drzwi wchodowych po żelazne sztachety.

Kasztany rosnące przy furtce kazał ojciec ściąć pewnej wiosny bo zaciemniały ściany. Lustra w salonie rozbłysły, sufity zrobiły się białe, wszyscy mówili „jak jasno!", a ja, nic oczywiście nie mówiąc, miałam żal do tych co tak mówili. Stracenie tych drzew było dla mnie przeżyciem. Wtedy nie wiedziałam tego. Ale dziś rozumiem, że to, co w tym okresie tak mi zaciężyło na sercu, ten dojmujący smutek czegoś niecofnionego, czegoś nie do odrobienia, gorycz pierwszy raz w życiu odczutego „już nigdy" — to były te zabite przy furtce drzewa. Całe lata bałam się potem szelestu obcych liści, zwłaszcza wieczorem, przy latarni.

Dwa więc skrawki trawnika były całym naszym ogrodem. Nie było tu wcale ciekawie. Wszystko było trzeźwe, zrozumiałe. Żadnej tajemniczości. Tych różowych, w malinowym jakby soku umoczonych stokrotek na klombiku, nie wolno mi było oczywiście tknąć. Kiedy przekwitły, sprowadzony przez ojca ogrodnik, przekopywał grządkę i wtykał w pulchną ziemię krwiste krzaczki begonii. Begonii nigdy nie miałam ochoty zrywać, nawet wtedy, kiedy się rozrosły i obsypały drobnym, płaskim kwiatem, podbnym do różowej soczewicy. Lubiłam za to patrzeć na nią pod słońce. Wodniste łodygi robiły wtedy wrażenie rurek, pełnych czerwonego soku. Myślałam sobie zawsze, że muszą być słodkie i chrupiące.

Jedyną ciekawą rzeczą w tym obrębie, był dzwonek. Wysoki, niedosięgły dzwonek u wchodowych drzwi. Zieleniała lekko lwia głowa ze zżółkłym guzikiem w paszczy. Tylko ojciec miał klucz od drzwi. Wszyscy inni musieli dzwonić.

Dziś — ja mam klucz od drzwi, a guzik w lwiej paszczy przyciska jedynie listonosz, albo ten od elektrycznego zegara. Lew ma zawsze tak samo zaspaną minę, tylko zaciek śniedzi na murze, stał się z biegiem lat dłuższy i mocniej zielony.

Największą radością owych przedpotopowych, zamierzchłych czasów — procz Marysi i luster — były moje spacery po parku. We dwie z Mademoiselle, bo Karol z nianią zostawał najczęściej w ogródku przed domem.

Miałam piłkę w siatce, wiaderko, łopatkę, duży słomkowy kapelusz z gumką pod brodą — i całe życie przed sobą... To może ze wszystkiego najlepiej wtedy czułam. Nie mogę dziś zrozumieć, jak się to działo, że tak dobrze zdawałam sobie sprawę z przestrzeni lat, którą mam przed sobą. Z tej należącej mi się niejako z prawa ilości czasu, z tego radosnego bogactwa przyszłości, której żadna prawie przeszłość nie zdążyła jeszcze uszczuplić. Wiem jednak na pewno, że właśnie ta świadomość nadawała wczesnym, pustawym godzinom w parku, owego przedziwnego smaku, który do dziś pamiętam.

Przy tym chłód nieznajomych krzaków, przestrzenie trawników, zakręty nowo poznawanych ścieżek, a nade wszystko tajemnicza, urzekająca mnie, zielono-czarna sadzawka z łabędziami, to było coś o wiele więcej, niż łabędzie, ścieżki i krzaki. To było życie! Cudowne, moje własne życie! Życie pełne niezdarzonych jeszcze zdarzeń, nieistniejących istot, życie, którego najczarowniejszą prawdą była wszelka nieprawda właśnie, tworzona przez moją wybujałą, dziecinnie bezkrytyczną wyobraźnię. Nic tu nie było tym, czym było! Wszystko było inne i moje, bo przetworzone w ten — mnie jedynie zrozumiały sposób — ze zwykłego w nadzwyczajne, z bezbarwnego w kolorowe. Próżnobym się dziś siliła uchwycić to w słowa. Próżnobym się starała wytłumaczyć i opisać tajemniczy proces tych przemian. Pełnił się bez mojej woli i współudziału, sam z siebie, a ja tylko czułam i widziałam skutki. I dlatego te nudne spacery z Mademoiselle były nasycone tak intensywną radością istnienia. Nikt, patrząc na bawiące się samotnie na ścieżce, mizerne dziecko, o ostrzyżonych krótko włosach i chudej szyi, nie domyśliłby się pewnie, jak bogato i jak wszechstronnie, pięcioma czułkami kilkuletnich zmysłów, odczuwać umie świat. Bo myśli w sobie nie pamiętam. Tylko tych pięć wyszczurzonych, wrażliwych, zachłannych macek, które łapały i przetwarzały po swojemu wszystką ocierającą się o nie rzeczywistość.

Nie znałam tęsknoty za innymi dziećmi. Przypuszczam, że to na wyraźne życzenie ojca, Mademoiselle nie pozwalała mi się nigdy bawić ze spotykanymi w parku dziewczynkami. Nie wiem zresztą, czy umiałabym się z nimi bawić. Moja samotność nie była wcale samotna. Bo i ja byłam stu osobami równocześnie i każda mijająca mnie osoba, była tym, czym chciałam, aby była. Ode mnie tylko zależało, czy ją sobie oczyma zabiorę, włączę w mój świat i przerobię po swojemu w co zechcę, bez jej wiedzy i zgody.

Dziś, kiedy z daleka przyglądam się samej sobie, widzę, że całą nieporównaną cudowność, cały sycący czar tych moich przeżyć zawdzięczałam tym właśnie nieprzewidzianym kojarzeniom rzeczywistości z fantazją, kojarzeniom, które nie wypływając nigdy na powierzchnię zrozumienia, wywoływały w tym właśnie niegotowym stanie, jakiś musujący ferment, jakieś tęczowe drożdże, na których rosła, pulchniała, dęła się i przelewała przez brzegi, cudownie przetworzona samotność mego dzieciństwa.

Boże! Jak ja to wszystko pamiętam! Żaden spostrzeżony wtedy szczegół nie odszedł już ode mnie i nie zmętniał z czasem. Woda spłynęła, a to zostało, jak ciężki, wypłukany z mułu piasek, na nieruchomym dnie. Pisząc, mam dziś wrażenie, że oglądam szczyptę jego szklistych, niepozornych ziarenek, przez silnie powiększające szkło.

Beata Obertyńska

W najbliższych dwóch numerach ŻYCIA ukaże się dalszy ciąg opowiadania. RED.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

MASONERIA I WIELKA REWOLUCJA FRANCUSKA. Już od końca XVIII w. rozpowszechniony był pogląd, że masoneria odegrała dużą rolę w zorganizowaniu wielkiej rewolucji we Francji. Dyskusja na ten temat toczyła się przez cały wiek XIX, a zabierali w niej głos często wybitni historycy. Wznowił ją obecnie p. Roger Priouret, autor książki „La Franc-Maçonnerie sous les lys", wydanej przez firmę Grasset. Książkę tę omawia obszernie Pierre Audiat na łamach „Figaro Littéraire".

Zdaniem Priouret teza o wielkim wpływie masonerii na wybuch rewolucji nie jest słuszna, a w opinii tej popiera go Pierre Gaxotte, jeden z nowych członków Akademii Francuskiej, który napisał obszerną przedmowę do książki.

Pierwsze loże we Francji — stwierdza Priouret — powstały około roku 1732; twórcy ich naśladowali gotowe już wzory angielskie, kierowani proangielskim snobizmem. „Frywolność" francuska sprawiła, że względy moralne poszły od razu w kąt; loże francuskie przybrały charakter konfraterni towarzyskich w przeciwieństwie do lóż angielskich, które za cel postawiły sobie pielęgnowanie cnoty. Zarówno w Paryżu jak na prowincji szlachta, bogate mieszczaństwo, ludzie intelektu jednoczyli się na stopie „braterskiej" równości, otaczając się zarazem tajemnicą. Każda sposobność dobra była do świętowania; był to jakby sekretny karnawał, który trwał przez cały rok.

Równocześnie masoneria francuska oddalała się coraz bardziej od angielskiej i szkockiej. Wielki Wschód uwolnił się od opieki brytyjskiej, a później próbował zjednoczyć pod swą egidą wszystkie loże Francji, co się nie udało, bo czyż kiedykolwiek — zapytuje autor — „istniała u nas jedność partii lub doktryny?" Loże francuskie z wyjątkiem niektórych, np. loży w Reims, nie były ogniskami myśli. Nie poruszano tam idei, nie filozofowano, a jeszcze mniej konspirowano; zajmowano się uroczystościami lokalnymi, rocznicami itd., wielką przy tym wagę przywiązując do obrządków. Przed rewolucją masoneria miała członków we wszystkich środowiskach z wyjątkiem ludu, który trzymano wzgardliwie na uboczu. Dominowali w niej ludzie wpływowi, arystokracja, posiadacze nabytych fortun, ludzie mający wpływy polityczne. W Stanach Generalnych (Etats Généraux) połowa posłów ze stanu średniego, 30 procent posłów z arystokracji i 10 procent z duchowieństwa należało do lóż. W czasie rewolucji mniej więcej połowa masonów stanęła po jednej stronie barykady, a druga połowa po stronie przeciwnej.

Zdaniem Priioureta, nie masoneria więc, ale różne kluby były ośrodkami myśli i działania rewolucyjnego. W miarę jak rewolucja twardniała stawała się jakobińską i totalitarną, masoneria popadała coraz bardziej w podejrzenie u władz, loże poczęto uważać za „ogniska umiarkowania", a gilotyna zbierała wśród masonów obfite żniwo.

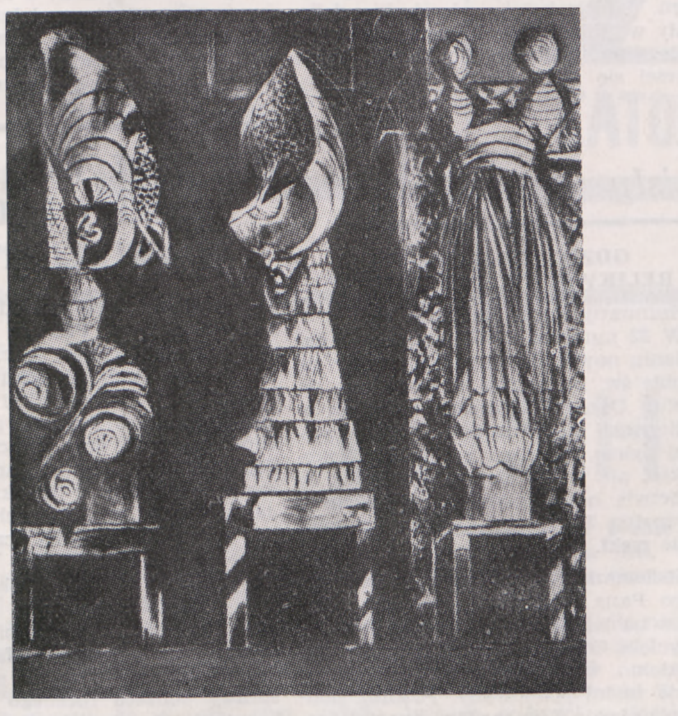
Skąd więc, zapytuje autor, wyrobiła się opinia, że masoneria odpowiedzialna jest w znacznej mierze za rewolucję? Przyczyniła się do tego deklaracja jednego z wybitnych masonów z r. 1789, poza tym historycy czerpali obficie argumenty z wydanej w Londynie książki jezuity, o. Barrucla, który cały przebieg rewolucji przypisuje knowaniom tajnych towarzystw. Wreszcie, zdaniem Prioureta, sama masoneria upodobała sobie później przypisywaną jej rolę sprawczyni rewolucji i zaczęła chlubić się tym jako tytułem do chwały.

Twierdzenia Prioureta napotkają niewątpliwie na silne sprzeciwy innych historyków, szczególnie jego pogląd, że masoneria właściwie nie odgrywała czynnej roli politycznej. Źródła dotyczące masonerii — stwierdza Priouret — są ilościowo olbrzymie; już w r. 1926 bibliografia dotycząca wolnomularstwa obejmowała 54.000 tytułów. Papiery Wielkiego Wschodu i lóż francuskich z końca XVIII wieku do tej pory w części tylko zostały przewertowane i zużytkowane.

Priouret podkreśla, że już na dwadzieścia lat przez rewolucją masoneria niemal wszędzie uległa infekcji okultyzmu, „tej niższej postaci mistycyzmu". Okultyzm, który przetrwał wszystkie stulecia jak salamandra w ogniu, święcił znowu tryumfy w drugiej połowie XVIII w.; uległy mu niemal wszystkie wybitne postacie tego okresu, nie wyłączając głów koronowanych. Był to pewnego rodzaju rewanż wiary nad filozofią, która zwolna niszczyła wiarę w pierwiastek boski. Mesmer i Cagliostro, Franklin i Joseph de Maistre, alchemicy i kalkulatorzy pitagorejscy — wszyscy mieli swych wyznawców i swych wiernych. „A czyż okultyzm — pyta Priouret— mógł być gdziekolwiek przyjęty bardziej przychylnie, niż w lożach, w których tajemnica rytuału tak dobrze godzi się z praktykami magicznymi?".

ZYGMUNT TURKIEWICZ

GRAHAM SUTHERLAND



SUTHERLAND. THREE STANDING FORMS IN A GARDEN. 1952.

W Tate Gallery odbywa się obecnie wystawa malarstwa i rysunków jednego z czołowych malarzy angielskich naszych czasów: Grahama Sutherlanda.

Została ona zorganizowana przez Arts Council of Great Britain na czas od 20 maja do 9 sierpnia br.

Zapewne organizatorzy wystawy zdawali sobie sprawę z faktu, że na lato 1953 roku przypadają uroczystości koronacyjne i że z tej to okazji w Londynie znajdzie się niezwykle wielka ilość gości zagranicznych, co stworzy wyjątkową okazję do zaprezentowania światu osiągnięć w malarstwie angielskim ostatniej doby.

Wybór miejsca na wystawę (Tate Gallery) oraz jej bardzo staranne zaaranżowanie, jak też wybór malarza — to wszystko potwierdzałoby takie przypuszczenie.

The Arts Council od dłuższego czasu faworyzowała twórczość Sutherlanda, pomagając mu wydatnie pod względem materialnym, jak też wyróżniając jego prace przez wysyłanie ich na Bienale oraz przez organizowanie wystaw jego obrazów na Kontynencie (między innymi w Paryżu). Jakikolwiek byłby nasz stosunek do angielskiego malarstwa, nie możemy powiedzieć, że w Anglii nie docenia się znaczenia twórczości plastycznej. Przeciwnie, obserwujemy prawie desperacki wysiłek do stworzenia w Londynie ośrodka kultury plastycznej o znaczeniu światowym.

Omawiana wystawa wydaje się być jednym z ważnych ogniw tego łańcucha wysiłków, zmierzających do przewodnictwa w sztuce.

* * *

Dla lepszego pokazania obrazów, jak też dla wzbogacenia wrażeń, wywołanych kolorytem tych obrazów, przemalowano nawet ściany sal wystawowych zrywając z tradycyjną monotonią wnętrza, pomalowanego na jeden kolor. Wprowadzenie ciemno-szaro-zielonej powierzchni w postaci jednej czy dwu ścian, czy też tylko ich części, jest bardzo udanym eksperymentem.

Również zwiększenie powierzchni ścian sali środkowej przez dodanie czterech wąskich dobudówek, związanych harmonijnie z architekturą całości, jest pomysłem znakomitym. Umożliwia on rozmieszczenie obrazów pewnymi grupami, pokrewnymi pod względem zagadnień kolorystycznych, kompozycyjnych, czy też tematycznych. Zyskuje bardzo na tym przejrzystość wystawy.

Od razu, przy wejściu do sal wystawowych, doznajemy wrażenia, że mamy przed sobą poważny wysiłek malarski.

W ostatniej sali, na wprost wejścia, umieszczony na ścianie, wielkich rozmiarów obraz, atakuje nasz wzrok bogatymi żółcieniami podpartymi plamami form liliowych i białych oraz rzadko rozsianymi akcentami plam o wyszukanej szarości i czerni.

Obraz ten działa niewątpliwie swoją malarską powierzchnią, zanim jeszcze zdołamy odczytać jego treść.

Przenosząc wzrok na inne obrazy rozmieszczone w trzech salach, widzimy, że każdy z nich ma zdecydowaną grę barwną, ujętą w wyszukaną kompozycję linii, płaszczyzn i mas koloru, namalowanych z dużą i świadomie stosowaną techniką.

Raz będzie to przeciwstawienie małych plam zróżnicowanej zieleni i szarości pierwszego planu — dużym płaszczyznom różów planu głębszego (Nr 23). To znów w ciepłą czerń tła, z rudawymi delikatnymi plamkami, wkraczają nagle rytmiczne formy o kolorze biało-różowo-szarym (Nr 68).

Pozioma martwa natura na niebanalnym tle namalowanym gorącą czerwienią chłodnymi tonami różowymi, dźwiga na swej powierzchni żółte i pomarańczowe formy owoców. Zielone cienie i linie tworzą jedyne zdecydowane przeciwstawienie koloru w tej kompozycji.

Całość wystawy robi bardzo dodatnie wrażenie i może służyć jako wzór, jak należałoby urządzać wystawy prac zbiorowych jednego malarza.

* * *

Tematyka Sutherlanda jest, można powiedzieć, dziwna. Właśnie tej jego specyficznej tematyce zawdzięczamy tak różne i często sprzeczne opinie o jego twórczości. Przy najbardziej pochlebnych wypowiedziach na temat sztuki Sutherlanda słyszymy przymiotniki: „brzydkie", „okropne", „zdegenerowane", „podniecające", „witalne", „przerażające", „nowe" itd. Niektórzy wywodzą jego tematykę z angielskiego pejzażu.

Faktycznie, Sutherland maluje w sposób bardzo realistyczny rzeczy, które znajdują się w naturze, a których nie widzimy, chociaż na nie patrzymy codzień. Chociaż dobrze nam znane, robią na nas wrażenie form prawie abstrakcyjnych, gdy je oglądamy na płótnach Sutherlanda.

„Istnieje dualizm rzeczy — mówi Sutherland — rzecz może być sobą i czymś innym w tym samym czasie. Coś w rodzaju formalnych metafor."

Artysta wyznaje sam, że zaczął malować na wsi, lecz wnet spostrzegł, że nie jest w stanie malować wprost z natury. Powiada, że nie znajduje w naturze „gotowych rzeczy" do namalowania. Natura dostarcza mu jedynie materiału, który artysta gromadzi w swym umyśle. Istota tego materiału ma podłoże intelektualne i emocjonalne.

Sutherland twierdzi, że jest zdolny wyrazić to, co czuje parafrazując to, co widział, przy czym wyobraźnia jego nie jest w żadnym koflikcie z rzeczywistością, bo rzeczywistość dla niego jest rozproszoną i rozszczepioną formą wyobraźni. Artysta wykrywa w naturze rzeczy, które sprawiają mu wyjątkową radość: pokręcony jałowiec na skalnym urwisku, uschłe badyle, leżące jak węże na ścieżce, chropowate skały, palące się wrzosy, czy głębokie zielone doliny okalające wzgórza. Sutherland dostrzegł nienaruszoną strukturę i prostotę tych zjawisk. Twierdzi, że pejzaż — to niekoniecznie teatralna sceneria. Przekonał się, że pierwiastki składowe pejzażu mogą posiadać indywidualne istnienie figuralne. Wyszukuje formy w świecie, w którym życie dopiero kiełkuje; odnajduje w ciemności kształty zamglone i niewyraźne na podobieństwo korzeni, larw, poczwarek; obserwuje insekty, przygląda się łodygom i liściom, drobnym sękom i cierniom, a potem je czyni bohaterami swoich opowieści malarskich. Powiada, że formy, które wprowadza do swego malarstwa, opierają się głównie na „organic growth".

Może dlatego właśnie wyczuwam w jego malarstwie najpierw elementy symboliczno-poetyckie, następnie rzeźbiarskie, a dopiero na samym końcu — malarskie. Jego świat — to świat bez człowieka. (Z wyjątkiem fotograficznych portretów lorda Beaverbrooka).

„Stojące formy", których tyle namalował, przypominają powiększone mumie poczwarek zawieszonych na tle barwnie malowanych parkanów. Można i tak. Każda forma stworzona przez Boga, godna jest, aby wzbudzić zainteresowanie malarza, pod warunkiem, że artysta odnajdzie w niej aspekty malarskie.

Dlaczego jabłko, czy melon miałyby być lepsze od uschłej sękatej szczapy drewna, czy od jakiegoś wodorostu?

Swoje odkrycia form i kształtów, nie dostrzeganych przez innych malarzy, Sutherland realizuje na płaszczyźnie, bądź to w sposób czysto malarski, przy pomocy kontrapunktu kolorowego, płaskich form i głębi planów, (są to przeważnie małe obrazki, malowane najczęściej gwaszem, na tej wystawie jest ich niewiele), bądź to stara się przedstawić je po rzeźbiarsku.

Jego olbrzymy-poczwary malowane realistycznie, prawie światłocieniowo, na jednobarwnych tłach, nie wywołują wzruszenia artystycznego. Wydaje się, że formy te zostały przeżyte przez artystę jako poetyckie symbole, które coś znaczą, oczywiście, ale artysta nam znaczenia tego nie przekazuje. A właśnie tego rodzaju prac jest większość.

* * *

Sutherland zaczął swoją twórczość mając lat 28, początkowo jako grafik. W roku 1938 maluje akwarelą pejzaże. W dwa lata później próbuje malować gwaszem. Jego małe obrazki (6 × 12 inczów) są bardzo odkrywcze i wydaje się, że ta właśnie skala odpowiada najbardziej temperamentowi artysty. Pokazane w pierwszej sali szkice akwarelowe, gwasz i grafiki zapowiadają malarza bardzo ciekawego, który odkrył nowe bogactwo powierzchni, nowy kształt skał, wzgórz i krzewów i owe, jemu tylko właściwe, samoistne formy natury.

Wydaje się, że w okresie tych prac Sutherland był bliski odkrycia czegoś niesłychanie ważnego. Prace z okresu późniejszego znamionuje zwrot ku swoistemu dla Sutherlanda realizmowi, nie pozbawionemu wpływów sztuki francuskiej, zwłaszcza Picassa. Od niego przejął jasny koloryt, ale jasny koloryt nie może być powtórzony mechanicznie, jasny ton odnajdywany w jego obrazach, jest jak gdyby bez światła i bez głębi.

Ostatni okres twórczości Sutherlanda cechuje skala tonów stłumionych, z przewagą ciemnej zieleni, szarości i czerni. Koloryt ten wywołuje nastrój poetycki, wprowadza w krąg jakichś niezwykłych przeżyć fantastycznych, albo też stwarza nastrój zgoła przykry, bliski przerażeniu, które się odczuwa, gdy się patrzy na okropne, malowane maski Murzynów.

W ostatnich pracach Sutherlanda powtarzają się te same formy, wprawdzie wyszukane i bardzo interesujące, ale oglądane po raz drugi i trzeci, budzą wątpliwość, czy należy je traktować jako rezultat wybujałej wizji artystycznej, czy tylko jako wynik jakiejś obsesji...

* * *

Sutherland jest również autorem wielu obrazów o tematyce religijnej. Jest on katolikiem. W roku 1947 otrzymał zamówienie do kościoła św. Mateusza w Northampton. Z tego zamówienia pochodzi obraz „Ukrzyżowanie". Do tegoż kościoła Henry Moor stworzył słynną Madonnę z Dzieciątkiem, wykutą w kamieniu. W roku 1952 Sutherland otrzymuje zamówienie na gobelin do nowo budującej się katedry w Coventry.

Twórczość Sutherlanda zdobyła sobie zdecydowaną przychylność w opinii angielskiej. Sir Kenneth Clark powiada, iż malarstwo Sutherlanda nie jest to malarstwo dekoracyjne, ani realistyczne, ani surrealistyczne, ale że reprezentuje ono szczególną angielską formę artystycznej twórczości — moment wizji.

Sir Herbert Read, w przedmowie swojej do katalogu, mówi między innymi: „Naturyzm" Sutherlanda jest przeciwieństwem humanizmu Henry Moora, lecz ci dwaj artyści, wyraziciele współczesnej filozofii sztuki są naprawdę godnymi uwagi. Dopełniają się wzajemnie, reprezentując odrębny wkład angielski do sztuki XX wieku.

Zygmunt Turkiewicz

PIERWSZA AKADEMIA TOMISTYCZNA POLONII W DETROIT

Polonia detroicka może się cieszyć z pierwszej polskiej akademii tomistycznej. A może była to nawet pierwsza w ogóle akademia tomistyczna, urządzona przez ludzi świeckich w całej historii archidiecezji Detroit.

Celem takich akademii jest, aby inteligencja świecka zapoznała się ze skarbami duchowymi katolickiej filozofii, której jednym z najwybitniejszych przedstawicieli jest św. Tomasz z Akwinu, i aby potem mogła się dzielić z innymi tym światłem prawdy.

Inteligencja nie może spełniać swojej istotnej funkcji w społeczeństwie, jeżeli sama nie zna prawdziwej filozofii. Chaos w myśleniu pociąga za sobą chaos w planowaniu, w działaniu. Bez znajomości filozofii chrześcijańskiej nie ma mowy o chrześcijańskim rozwiązaniu palących problemów naszych czasów. Tu leży wielka doniosłość takich akademii.

Pierwsza akademia tomistyczna detroickiej Polonii odbyła się staraniem „Koła Wiedzy Religijnej", (grupy inteligencji świeckiej polskiej) 26 kwietnia 1953 w sali muzycznej w Memorial Building Katolickiego Uniwersytetu Detroickiego. Sala była udekorowana dużym obrazem św. Tomasza, wykonanym przez studenta teologii Seminarium Polskiego w Orchard Lake, Michigan, Artura Demskiego.

Jako wstęp muzyczny p. Charles Sills odegrał Bacha „Chaconna", po czym p. Stefan Ropp, przewodniczący akademii, wygłosił przemówienie wstępne. „Żyjemy — powiedział — w czasach przełomowych, po dwóch wojnach światowych...

Przyczyna tych gwałtownych przemian jest niewidzialna i głęboka, leży ona w zaniku wartości moralnych i krzewieniu się materializmu. Na miejsce prawdziwych wartości wprowadzono bożyszcza, które zasłaniają nam horyzonty a równocześnie prowadzą ku katastrofie. Ważne tedy jest, aby wrócić do prawdziwych zasad. Drogowskazem dla nas jest św. Tomasz i jego filozofia. Zasady przez niego sformułowane wciąż są aktualne. Wdzięczność należy się tym, którzy urządzając tę akademię, umożliwiają nam sięgnąć do tych zasad i wyrobić sobie sąd właściwy o rzeczywistości."

Zamiast tradycyjnej w Ameryce inwokacji, odbyła się — a był to szczęśliwy pomysł, który pięknie się udał — deklamacja chóralna „Modlitwy św. Tomasza z Akwinu o świętość życia". Jest to seria głębokich modlitw, ułożonych przez św. Tomasza. Recytowali je na przemian p. Tadeusz Chechowski, p. Ludwik Michałowski, p. Danuta Rudnicka i p. Kazimierz Olejarczyk. P. Charles Sills akompaniował na fortepianie, grając J. S. Bacha The Chorale from Cantata 147.

Pani Helena Jaźwińska przedstawiła życie i działalność św. Tomasza z Akwinu na podstawie studium biograficznego Angelusa Waltza, Z. K.

Pani Lilian Kiszłowska odśpiewała wzruszający hymn św. Tomasza na cześć „Panis Angelici", Chleba Anielskiego, który staje się pokarmem dla ubogich, pokornych, aby ich zaprowadzić do światła wiekuistej chwały. Pan Józef Skorupka zadeklamował wiersz marianina ks. Józefa Jarzębowskiego: „Rytm na cześć św. Tomasza z Akwinu".

Pan Jerzy Lubelfeld, profesor matematyki na Katolickim Uniwersytecie Detroickim wykazał w swym referacie żywo i jasno główne zasady filozofii tomistycznej.

Pan Stanisław Degórski przy akompaniamencie p. Charles Sillsa odśpiewał „Ave Maria" Gounoda.

Akademia zakończyła się odmówieniem przez wszystkich obecnych modlitwy do Św. Tomasza: „O święty Tomaszu, patronie szkół, wiarę silną, miłość gorącą, życie czyste, wiedzę prawdziwą, od Boga nam wyproś, przez Chrystusa Pana naszego. Amen."

Oby akademia ta była zapowiedzią nieprzerwanego szeregu takich rocznych obchodów, które tak bardzo podnoszą, pokrzepiają, oświecają i uszczęśliwiają tych wszystkich, którzy w nich biorą udział. Im trudniejsze są czasy, tym bardziej potrzeba takich akademii. „Szczęść Boże" organizatorom tej pierwszej polskiej akademii tomistycznej ludzi świeckich w Detroit!

Ks. Walery Jasiński

TADEUSZ ILNICKI

POLSKI RUCH NA UKRAINIE

Niedawno w jednym z pism polskich, wychodzących w Londynie, ktoś podał ciekawą myśl, by się rozejrzeć w losie Polaków pozostających w Związku Radzieckim, a ja (jako ów mnich widzący na Marsie wierzyce kościołów) w lot zrozumiałem, że chodziło nie tylko o rodaków, którzy znaleźli się tam po roku 1939, w pewnej mierze na skutek polityki rodzimych i obcych „kurzonów", lecz o autochtonów ziem kresowych, osiadłych tam zawdzięczając to polityce Jagiellonów... Ziemia nie tylko „gromadzi prochy". Moja ziemia wydała rzesze Polaków, zainteresowanie którymi czas by wskrzesić. Czekałem na odzew „biegłych" w tej sprawie. Czekałem z zaciekawieniem i niepokojem, który okazał się uzasadniony, bo oto trzy piękne wspomnienia, zamieszczone w ŻYCIU (nr 22/310) nie wyczerpują zagadnienia, lecz tylko ogólnikowo traktują o nim. Przyczyna? — Brak źródeł, był i jest, brak zainteresowania tą sprawą. Zresztą— pokój ryski uczynił z tamtejszych Polaków obywateli obcego państwa, toteż konsekwentnie, po roku 1920, zatrzaśnięto wieko pamięci Macierzy nad losem tamtych braci, których przecież pozostało, na wspomnianych terenach, parę milionów. Każde miasto i miasteczko tamtejsze posiadało wysoki odsetek ludności polskiej, nie wypierającej się swej narodowości. Po każdym dworze polskim (a innych prawie nie było) pozostała, na wsi ruskiej, polska wysepka. A zaścianki szlacheckie, a rdzennie polskie wioski, zamieszkałe przez tzw. „Mazurów". Dalej na zachód, ku granicy polskiej, sama polonia. Na tych terenach stworzyli bolszewicy „Polskij Rajon", „Marchlewszczyznę". A Krym, a Kaukaz? A polonia w miastach Rosji właściwej? Po okresie względnej tolerancji mniejszości polskiej, tworzącej państwo w państwie, w roku 1929, zaczęło się masowe i planowe tępienie prawdziwej polskości i Polaków, pod romantycznym hasłem „Likwidacja polskiego ruchu na Ukrainie". W tym czasie, już w więzieniu, czytałem w „Prawdzie" artykuł poświęcony zagadnieniom mniejszościowym, w którym podawano liczbę Polaków, obywateli radzieckich, na okrągłe pięć milionów. Może trochę przesadzono. Jeśli nawet i trzy prawdopodobne miliony, to nie bagatela. Jak żyło tych parę milionów Polaków? Ilu ich wytępiono i jak żyją dziś — trudno na to dać odpowiedź. Lecz, że trzymali się kurczowo swej polskości i wiary ojców (dla nich to nie był teatralny patos), to pewne. Dla przykładu pozwolę sobie podać fakty z historii jednej tylko parafii, Tulczyn na Podolu, niegdyć siedziba potocczyzny. Określenia „parafii" użyłem nie przypadkowo. Oto, gdy wytępiono wszystkie organizacje polskie nie poddające się wpływom bolszewizacji (Polska Macierz Szkolna, Domy Polskie, szkółki parafialne), gdy wyłapano i zniszczono książki polskie o „burżuazyjnej" ideologii, Kościół, obwarowany (de jure) punktami pokoju ryskiego, pozostał jako jedyna reduta polskości. Parafia stała się gminą chrześcijańsko-narodową — właśnie państwem w państwie. Mało było na Kresach księży, którzy dla ratowania życia uszli w roku 1920 do Polski. Jednak byli wśród nich także i tacy. Dwaj kolejni proboszczowie, starcy, jakoś się nie utrzymali — parafię objął (przeniesiony z naddniestrzańskich okolic) proboszcz z sąsiedniej wsi Kopijówki, ks. Feliks Lubczyński. Wymawiam to imię nie inaczej jak tylko ze czcią i miłością, ponieważ nie było takich cnót ludzkich, obywatelskich i kapłańskich, których by ten ksiądz nie posiadał! Nabożeństwo odbywało się w obu kościołach co drugą niedzielę. „Rządy" tego proboszcza wzbudzały szacunek nawet u bolszewików, którzy wprost marzyli, by uczynić z niego „księdza patriotę". Po okresie „Nepu" (dat nie podaję, gdyż zatarły się w mej pamięci) zabrano się do Kościoła. Właśnie stawał się groźnym przeciwnikiem. Procesy w stylu procesu ks. Budkiewicza były raczej rzadkością. Starano się walczyć po cichu, sztyletem. A więc, gdy wartościowszych duchownych Cerkwi Prawosławnej truto — na księży nasyłano „bandytów ukraińskich". Księży było coraz mniej. Objął więc nasz proboszcz i trzecią parafię, Pieczarę. Był to prawdopodobnie rok 1925/26 (znowu zastrzegam się co do ścisłości dat), gdy pewnej sobotniej nocy probostwo w Kopijówce otoczyła konna „banda" w celu zamordowania ks. Lubczyńskiego. Nie wiedzieli o tym, że właśnie wyjechał do Pieczary. Nie znalazłszy go, wrzucili do studni głębokości czterdziestu metrów zgrzybiałego ojca księdza, staruszkę gospodynię i dziesięciu ze służby kościelnej i probostwa. Drzwi kościelne były nadłupane. Widocznie Polit Biuro (spadkobierca Czeki) nakazało, dla upozorowania napadu rabunkowego, splądrować kościół, a kluczy nie znaleziono.

Władze poradziły proboszczowi nosić cywilne ubranie i nabyć broń. Widok księdza w takim stroju wywołuje niesmak. To tak, jakby Picasso namalował Abrahama w smokingu — z różą jerychońską w klapie. Lecz nie było rady. Wkrótce przeniesiono ks. Lubczyńskiego do Kamieńca Podolskiego. Gdy przyjechał w odwiedziny na dawne tereny i mówił, że już nie długo pozostanie na wolności, zapytałem go, dlaczego nie ucieka do Polski? Odparł, że tu jest Polska, tu nam żyć i umierać, by w przyszłości bodaj na naszych mogiłach poznano, gdzie są właściwe granice Polski. Wywieziono go do łagru na wyspach sołowieckich, gdzie wkrótce zmarł. W międzyczasie objął naszą parafię proboszcz z Bracławia, ks. Lubiniecki. I temu „uszyto" sprawę, skazując go na piętnaście lat więzienia. — „Idę do mych braci!" — zawołał po wysłuchaniu wyroku. Teraz Tulczyn był kompletnie osierocony. Nabożeństwa odbywały się okazyjnie, gdy proboszcz z odległego Tuczyna, ks. Pawelczus, wpadł nie zapowiedziany. Wtenczas bito w dzwony, jak na trwogę, a ludzie biegli tłumnie do kościoła. Tam czuli się bezpiecznie, jak za murami jasnogórskiej twierdzy. Wkrótce zaczął dojeżdżać do Tulczyna proboszcz z Kapuścian (majątek hr. Szczeniowskiego) ks. Krzewicki. To już rok krytyczny. W tym to dopiero roku kazano parafianom wyłonić Komitet Kościelny, który wydzierżawił kościół. Bolszewicy śledzili z zaciekawieniem gospodarkę Komitetu. Ludzie sprzedawali ostatnią krowinę na zapłacenie podatku za kościół, a podatek ten wciąż rósł. Utrzymanie księdza było drobnostką. Kościoły przeważnie były nowe i nie wymagały większych napraw. Czyniono wszystko gwoli zarządzeniom władz, by nie dać powodu do cofnięcia dzierżawy. Lecz Tulczyn, siedziba okręgu, musiał się pozbyć „bielma na oku", „polskawo kastioła". Sekretarz kompartii okręgowej zwołał więc parafian i sam się nań pofatygował, starając się wmówić w ludzi, że kościół jest stary, więc trzeba go zamknąć, a parafię przenieść do Kopijówki. Obok wspomnianego dygnitarza występował na wiecu „prawdziwy" Polak, komunista z Warszawy. Wył i bluźnił wszystkiemu, co polskie i chrześcijańskie. Niewiele więc brakowało, by obu agitatorów zlinczowano. „Precz! Precz stąd!" — wołał jeden z parafian, Majewski. — „Za tym murem wasze państwo! Tu Polska!" — Uciekli, nie zdobywszy ani jednego podpisu pod przygotowaną deklaracją. Sprowadzono wtedy inżynierów, którzy orzekli, że wprawdzie mury są mocne, lecz belki drewniane nie wytrzymają długo ciężaru organów, a więc trzeba dać żelbetonowe. Ks. Krzewicki musi uzyskać każdorazowe zezwolenie władz na wyjazd do Tulczyna. Ks. Zdaniewicz z Kopijowski uwija się po swych dalszych kilku parafiach. A więc ludzie sami się modlą. Nie ma organisty, lecz jest wspaniały chór. Wszyscy śpiewają, aż mury drżą! (A w Brompton Oratory Polacy nie umieją najpopularniejszych pieśni kościelnych i kolęd...). Gdy zabroniono śpiewać „Boże, coś Polskę", zaczęto w litanii przemycać: „Królowo Korony Polskiej". Zawsze im się śniła Polska. Jakież to życie było ciężkie! A jaką pracę mieli nasi księża bohaterowie! Oto jeden z księży, braci Skalskich, mdleje przy odprawianiu w Tulczynie piątej z rzędu Jutrzni. Jeden z księży zostaje w lochach GPU (po Polit Biuro) oblany benzyną i podpalony we śnie — nazywało się to „popełnił samobójstwo". A walka o zamknięcie kościoła tulczynieckiego trwa. Agitatorzy i szpicle myszkują w terenie — bodaj jeden podpis, na wabika! W czerwcu 1929 r. wezwano jednego z parafian do GPU na taką rozmowę: — „My wiemy, że jesteście dobrym gospodarzem. Powiedzcie, co byście zrobili, gdyby wam stary dom walił się, a obok stał nowy?" Zagadnięty zrozumiał do czego zmierza ten wstęp, więc odparł: — „Przede wszystkim musiałbym mieć tę pewność, że się stary dom wali. Po wtóre — czasem sentyment jest mocniejszy od rązsądku." — „O proszę! Przecież my wiemy, że wy, obywatelu, nie chodzicie zbyt często do kościoła." — „Tak. Lecz po raz pierwszy byłem w kościele, gdy się urodziłem, po raz drugi, gdy ślub brałem, a będę i po raz trzeci, gdy umrę." Tak mi opowiadał ów parafianin.

Dnia 28 czerwca tegoż roku byłem już w więzieniu, gdzie zastałem ks. Krzewickiego i sześciu innych Polaków. Na drodze etapów po wszystkich więzieniach, przynosili nam miejscowi parafianie żywność. W grudniu tegoż roku dzieliliśmy się opłatkiem z księżmi Skalskimi, skazanymi na śmierć. Dzieliliśmy się — myśmy Polacy stali na dziedzińcu więziennym w Winnicy, a księża w oknie, ukazując nam opłatek. O tych księży ktoś się upominał. Proponowano więc im wyjazd do Polski, ułaskawienie — odmawiali...

Z ks. Krzewickim rozstałem się w Kijowie. Ja „jechałem" do Archangielska (skąd ostatecznie uciekłem na Zachód), on na Sołówki.

Tadeusz Ilnicki

Działalność Francuskiej Federacji Studentów Katolickich. Francuska Federacja Studentów Katolickich (F. F. E. C.) dąży do zapewnienia wszystkim organizacjom katolickich studentów wymiany zainteresowań, doświadczeń i osiągnięć. Tematem tegorocznych studiów Federacji była „Wiara a życie uniwersyteckie". Na kongresie, który w lutym w Paryżu obradował nad tym problemem, było ponad 800 studentów z Francji; przybyli też delegaci organizacji studenckich z Anglii, Belgii, Niemiec itd. Najwybitniejsi przedstawiciele Kościoła i nauki, zwłaszcza filozofii , dali wyczerpujące odpowiedzi na następujące zagadnienia interesujące studentów: 1) czy wiara wymaga przynależności nieprzemyślanej, czy jest ona zamachem na naszą wolność? 2) czy dla życia w wierze prawdziwej przynależność do Kościoła jest również niezbędna, jak przynależność do Chrystusa? 3) czy wątpliwość może mieć miejsce w życiu wiary studenta i czy istnieją specyficzne pokusy dla studentów w różnych dziedzinach nauki, jak medycyna, historia, filozofia? 4) jaki jest wpływ myśli „współczesnej" (względność, egzystencjalizm, marksizm itd.) na wątpliwości przeciw wierze? 5) czy jest prawdą, że gorliwość religijna bywa często ucieczką od rzeczywistości uważanej za nędzną i marną i czy życie religijne studenta jest związane z jego życiem uczuciowym?

Arabski rękopis Pisma Świętego. W bibliotece klasztoru św. Katarzyny na górze Synaj znaleziono najstarszy znany arabski rękopis Pisma Świętego. Rękopis sfotografowano i fotografie przesłano uniwersytetowi w Aleksandrii. Zadaniem komisji utworzonej przez rektora uniwersytetu będzie przestudiowanie i wydanie rękopisu,

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 19 lipca 1953.

„THE EASTERN QUARTERLY"

Styczeń — Kwiecień 1953

Zeszyt „The Eastern Quarterly" (numer 1-2; — styczeń-kwiecień 1953 roku), który się ostatnio ukazał, zawiera szereg artykułów z dziedziny polityki międzynarodowej, ze specjalnym uwzględnieniem zagadnień dotyczących Europy, a w szczególności Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej.

Na pierwszym miejscu znajdujemy żywo napisany, artykuł członka Izby Gmin, płk. Colin Thornton Kemsley'a (jednego z 27 posłów, którzy głosowali przeciwko układom jałtańskim) pod tytułem: Środkowo-Europejska Siła Zbrojna Wolności". Zdaniem autora, taka siła zbrojna winna być zorganizowana przez Zachodnich Aliantów spośród uchodźców politycznych z krajów zza żelaznej kurtyny. Wskazawszy na wagę zagadnień armii „satelickich", tworzonych przez Rosję Sowiecką w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, znajdujących się pod panowaniem rosyjskim, płk Thornton Kemsley pisze: „stworzyć armię, to jedna sprawa, lecz zapewnić, że będzie się biła — to całkiem inna sprawa. Czy nie moglibyśmy (tj. Potęgi Zachodnie) pozyskać dla siebie sprzymierzeńców spoza żelaznej kurtyny?" Po czym autor powołuje się na powiedzenie generała Wł. Andersa, który, gdy zapytano przed bitwą pod Monte Cassino, gdzie są jego odwody, odpowiedział: „rezerwy moje są po tamtej stronie" i wskazał na pozycje zajmowane przez nieprzyjaciela. Istotnie, stwierdza płk Thornton-Kemsley, na początku kampanii włoskiej 2 Korpus Polski liczył 50.000 żołnierzy, a przy końcu tej kampanii pomimo poważnych strat, siły jego urosły do 120.000. „Czyż nie jest to lekcja, której nie należałoby dziś zapominać?" konkluduje tę część swych wywodów wybitny parlamentarzysta brytyjski.

W źródłowo opracowanym studium o projektowanej federacji państw Europy Zachodniej tzw. Federacji „Małej Europy", minister J. Librach daje wnikliwą i wycieniowaną analizę polityki brytyjskiej, ze specjalnym uwzględnieniem osobistej roli premiera W. Churchilla, w odniesieniu do zagadnienia zjednoczenia Europy. Minister Librach podkreśla następnie, że, o ile „Mała Europa" będzie ewoluowała w kierunku federacji regionalnej, to przesądzi to kwestię konieczności utworzenia Związku regionalnego krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w których, zaznacza autor, dążenia federacyjne nie są mniej rozpowszechnione niż pośród narodów Europy Zachodniej. Słuszny wniosek końcowy tego artykułu zasługuje na dosłowne przytoczenie: „Wyzwolenie Środkowej i Wschodniej Europy, zagadnienie niemieckie i organizacja Europy Zachodniej — pisze p. Librach — są to zagadnienia od siebie wzajemnie uzależnione; byłoby więc wielkim błędem traktować je oddzielnie. Póki żołnierz rosyjski obozuje w środku Europy, mało jest szans na to, by można było znaleźć stałe rozwiązanie dla naszego kontynentu. a tym bardziej dla jakiejkolwiek „Małej Europy."

Mamy również dwa inne niezmiernie interesujące artykuły pióra autorów polskich, mianowicie: profesora W. Sukiennickiego „O sowieckich wyborach w Polsce" i p. R. Wragi „O XIX Kongresie Partii bolszewickiej". Następnie wybitny działacz polityczny węgierski, p. Ivan Bahrianyj, bardzo przekonywująco i barwnie rozważa możliwości wybuchu rewolucji w Rosji. Tezą p. Bahrianyj jest, że rewolucja taka jest nie tylko możliwa, lecz absolutnie nieunikniona. Ze świetną argumentacją autora tego artykułu trudno się nie zgodzić. Znany zaś historyk jugosłowiański, p. Branko Lazitch, w artykule o historii Kominformu, podaje wiele ciekawych szczegółów o początkach tej komunistycznej organizacji, co do której stwierdza, że jest jeszcze bardziej ściśle agenturą polityki moskiewskiej, niż poprzednio tworzone organizacje międzynarodowego komunizmu.

Na specjalną uwagę zasługuje artykuł p. R. Kopecky'ego, prezesa Legionu Czeskiego na wygnaniu, pod tytułem „Polityczni uchodźcy z Czechosłowacji i ich zagadnienia". Jest to studium bardzo cenne i doprawdy, rzec można, rewelacyjne przez bogactwo podanych informacji i szczerość w przedstawieniu sytuacji emigracji politycznej czeskiej i słowackiej. Z wielką dokładnością autor analizuje przyczyny uniemożliwiające zjednoczenie różnych odłamów tej emigracji. Z prostego zestawienia przez p. Kopecky'ego faktów wynika, że zjednoczenie politycznych grup czeskich i słowackich jest właściwie niemożliwe. Największą przeszkodę stanowi przede wszystkim niemożność uzgodnienia zasadniczej koncepcji o strukturze państwa Czesko-Słowackiego wobec tego, że poważne ugrupowania słowackie stoją na stanowisku całkowitej niepodległości i odrębności Słowacji. Poza tym kwestia stosunku do zagadnień Niemców Sudeckich stanowi również zasadniczą trudność dla ustalenia wspólnego programu. Na skutek istnienia kilku warstw emigracji (emigracja wojenna i parę fal późniejszych), żadne stronnictwo nie czuje się upoważnione do przejścia do porządku dziennego nad przeszłością i do przyjęcia ogólnego kompromisu; każde woli zachować swe własne oblicze a nie zjednoczyć się w jedną nową całość polityczną, która by, nie mając odpowiednika w kraju, nie odzwierciadlała może nastrojów mas narodu. Z wywodów p. Kopecky'ego wynikałoby, że stronnictwa i ugrupowania emigracji czeskiej i słowackiej nie czują się uprawnione do rozstrzygania wielkich zagadnień dotyczących ułożenia się stosunków po wyzwoleniu, oraz do pobierania w tym względzie wiążących zobowiązań. Ugrupowania te stawiają więc sobie jako cel raczej jedynie przyczynianie się do uwolnienia kraju spod obcego panowania, i w tym wszystkie współdziałają, pozostawiając krajowi, po oswobodzeniu, decyzje co do spraw zasadniczych. Jest to więc koncepcja różna od polskiej koncepcji legalnej władzy państwowej na obczyźnie i akcji Rządu na emigracji. Konstatacje p. Kopecky'ego niewątpliwie rzucają też wiele światła na przyczyny, które powodują, że myśl o federacji Europy Środkowo-Wschodniej z takim trudem toruje sobie drogę w sferach emigracyjnych czeskich i słowackich. Z faktami podanymi przez p. Kopecky'ego nie podobna się nie liczyć przy rozważaniu zagadnienia ewentualnej federacji regionalnej Europy Środkowo-Wschodniej.

W dziale komentarzy na temat spraw bieżących p. Jean Bernier omawia głęboki kryzys moralno-polityczny, który charakteryzuje sytuację we Francji. Sytuację tę widzi autor chwilowo w dość ciemnych barwach, stwierdzając znaczny wpływ propagandy sowieckiej na sfery polityczne i podkreślając rozwój tendencji defetystycznych.

W tymże dziale obszernie omówione są zagadnienia kościelne za żelazną kurtyną.

Wreszcie w dziale recenzyjnym omówiony jest szereg książek, które się ostatnio ukazały, m. i. książki autorów polskich, p. E. Zaleskiego o rozwoju handlu w Europie Dunajskiej w pierwszej połowie XX wieku, p. J. Lenczowskiego o Środkowym Wschodzie i p. P. B. Czarnomskiego pt. „Czy Rosja może się uratować?".

Jak z powyższych uwag wynika, numer „The Eastern Quarterly" za pierwszy kwartał bieżącego roku, jak i wszystkie poprzednie tego cennego wydawnictwa, jest bardzo interesujący. Daje wiele informacji oraz naświetla sytuację międzynarodową; daje też dla czytelników w krajach zachodnich i polityków emigracyjnych wiele pokarmu do pożytecznych rozmyślań.

F.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

WIELKA WYSTAWA KATOLICKA W LONDYNIE

W ciągu ostatniego tygodnia w wielkiej hali „Olympii" odbywała się wystawa „Kościoła w akcji", zarówno na terenie Wielkiej Brytanii, jak w misjach zagranicznych. Wystawa obejmowała ogółem 166 stoisk, na których duchowieństwo świeckie sześciu diecezji Prowincji Westminsterskiej oraz 159 zakonów i kongregacji, istniejących na tym obszarze, demonstrowało różnorodność i zakres swej pracy przy pomocy książek, broszur, obrazów, rzeźb i różnych modeli oraz wykresów.

Celem wystawy było wzmożenie napływu kandydatów do stanu kapłańskiego, który jak do tej pory nie nadąża za tempem rozwoju katolicyzmu w Anglii. Punktem szczytowym w tym zakresie był rok 1936, kiedy wyświęconych zostało 140 księży. Potem nastąpił spadek; w ciągu ostatnich trzech lat przeciętna ilość nowych księży wynosiła około 60 rocznie. Oczywiście w kościele anglikańskim stosunki pod tym względem są jeszcze dużo gorsze; spadek ilości kandydatów na duchownych jest tam tak poważny, że na dalszą metę zagraża to samemu istnieniu anglikanizmu. W dodatku w równie szybkim, a nawet szybszym tempie spada w anglikanizmie ilość osób wierzących i praktykujących.

W Kościele katolickim położenie przedstawia się pod tym względem odwrotnie; szeregi Kościoła rosną, a świątynie są zawsze przepełnione. Obecnie chodzi o to, by powiększyć kadry duchowieństwa i by przyrost ten stał się trwały. W tym celu w kazaniach kładziony jest specjalny nacisk na konieczność większej liczby powołań kapłańskich; obszernie pisze o tym także brytyjska prasa katolicka.

W rezultacie w ciągu ostatniego półrocza liczba podań o przyjęcie do seminariów duchownych w Prowincji Westminsterskiej wzrosła dwukrotnie w stosunku do tego samego okresu w r. 1952. Organizatorzy wystawy twierdzą, że sama zapowiedź jej odbycia — ogłoszono o niej w styczniu r. b. — przyczyniła się do tego wzrostu.

200-LECIE BRITISH MUSEUM

W serii wystaw książek, odbywających się w King's Library w British Museum z okazji 200-lecia tej instytucji, urządzona została na przeciąg lipca wystawa, ilustrująca powstanie i rozwój samego British Museum. Wystawa rozpoczyna się dokumentami dotyczącymi właściwego fundatora muzeum Sir H. Sloana oraz tych zbiorów, które od początku i nieco później weszły w skład muzeum, poza kolekcjami Sloane'a. Należy tu przede wszystkim słynny zbiór rękopisów, utworzony w początkach XVII w. przez Roberta Cottona, dalej kolekcja manuskryptów, zbieranych w Anglii i za granicą przez Roberta Harleya, angielskiego męża stanu z przełomu XVII i XVIII wieku, oraz przez jego syna, wreszcie tzw. Old Royal Library, ofiarowana muzeum w r. 1757 przez króla Jerzego II, a obejmująca przeważnie również rękopisy.

W dalszych gablotach przedstawione są fazy rozwoju muzeum i jego biblioteki; nie brak i małego modelu wielkiej czytelni muzeum, która otwarta została w r. 1857, a więc prawie sto lat temu, i w której tylu wybitnych pisarzy, uczonych i polityków — w tym także Polaków — spędzało długie godziny nad książkami.

Zobrazowane są też dzieje muzeum w czasie drugiej wojny światowej. Najcenniejsze książki wywieziono dla bezpieczeństwa na prowincję i umieszczono je bądź w Narodowej Bibliotece Walijskiej w Aberystwych, bądź w starej Bodleian Library w Oksfordzie, bądź też w specjalnie wentylowanych kamieniołomach. Zabezpieczyć można było jednak w ten sposób tylko małą część książek, reszta zaś pozostała w Londynie, w ciągłym niebezpieczeństwie zniszczeń od bomb niemieckich. W nocy 10 maja 1941 roku grad bomb zapalających spowodował pożar i zawalenie się dachu najpierw w „Roman Britain Room", a później w skrzydle południowo-zachodnim biblioteki. Zniszczeniu uległo około 250.000 tomów — a więc cyfra olbrzymia — przy czym najgorszych spustoszeń dokonała woda z sikawek strażackich. Cenne wolumina suszono potem przez długi czas na posadzkach różnych sal.

W katastrofie tej zagładzie uległ między innymi bogaty zbiór periodyków polskich, poczynając od „Zabaw przyjemnych i pożytecznych" Naruszewicza, poprzez cały wiek XIX aż po „Życie" krakowskie i „Chimerę" Miriama. Zniszczeniu uległy również różne periodyki innych narodów. Oczywiście szczegółów tych wystawa nie podaje. Widzimy jednak na niej fotografie zrujnowanych (obecnie już odbudowanych) sal, a także spustoszeń, jakich bomby niemieckie dokonały w filii British Museum w Colindale (na północy Londynu), gdzie mieści się zbiór gazet.

Listy do redakcji

GDZIE ZNAJDUJĄ SIĘ RELIKWIE ŚW. BENEDYKTA?

Szanowny Panie Redaktorze!

W 22 numerze ŻYCIA czytam o zapaleniu nowej „Lampy Braterstwa" na grobie św. Benedykta w klasztorze na Monte Cassino. Dziwnym zbiegiem okoliczności kilka zaledwie dni wcześniej byłem także na grobie św. Benedykta, ale w St. Benoit sur Loire, w opactwie benedyktyńskim odległym o niespełna 30 km od Orleanu, w górę tejże rzeki.

Mniemam, że zainteresują Szanownego Pana opinie tamecznych mnichów na temat grobu świętego ich Założyciela. Otóż św. Benedykt zmarł, jak wiadomo, w 543 r. na Monte Cassino, gdzie został pochowany. Później, podczas najazdu Lombardów, opactwo zostało opustoszone, a mnisi wygnani. Wtedy jeden z ojców z opactwa Fleury udał się do ruin i przywiózł święte relikwie do Francji nad rzekę Loarę. Od tego czasu, a było to ponoć w lipcu 703 r., klasztor Fleury przejął nazwę św. Benedykta nad Loarą. Wkrótce zaczęły się pielgrzymki do tego miejsca, a opactwo rozwinęło i wzbogaciło się niezmiernie szybko. Francja zawdzięcza tamtejszym zakonnikom bardzo dużo pomników swej literatury średniowiecznej, a św. Ludwik zapożyczył u nich część sum potrzebnych na jedną ze swych wypraw krzyżowych.

Autentyczność relikwii św. Benedykta nie była, zda się, kwestionowana aż do czasów powojennych. Już około r. 750 papież Zachariusz pisał nadaremnie do biskupów francuskich o zwrot skarbu. Później specjalne poselstwo z Karlomanem, bratem Pepina Małego, nie zdołało uzyskać nic za wyjątkiem kilku kosteczek.

Na wiadomość o poddaniu w wątpliwość prawdziwości relikwii św. Benedykta przez benedyktynów z Monte Cassino, twierdzących, że prawdziwe zwłoki św. Założyciela były ukryte w chwili napadu Lombardów i że dopiero bomby alianckie ujawniły właściwy grób, mnisi z St. Benoit sur Loire wszczęli ścisłe badania, prowadzone przez specjalistów lekarzy z Orleanu za pomocą radioaktywnych aparatów, mające na celu stwierdzenie, czy kości w posiadaniu klasztoru należą do tej samej osoby zmarłej w wieku 60 lat. (Św. Benedykt ur. 480 r., zm. 543). Za autentycznością przemawia cała tradycja sięgająca początków ósmego wieku i liczne cuda spisywane rok rocznie troskliwą o chwałę Bożą ręką brata kronikarza.

Tymczasem jednak w krypcie, u grobu św. Benedykta nad Loarą, palą się dniem i nocą liczne wieczne lampki...

Z głębokim szacunkiem.

Zdzisław E. Wałaszewski

POSIEDZENIE RADY POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ W WIELKIEJ BRYTANII

W dniu 2 lipca br. odbyło się posiedzenie Rady PMS w W. Brytanii pod przewodnictwem gen. W. Andersa, prezesa Rady. W toku obrad przyjęte zostały z niewielkimi zmianami i uzupełnieniami: Program prac Zarządu Głównego PMS oraz opracowany przez Sekcję Organizacyjną Zarządu regulamin Kół PMS w Wielkiej Brytanii. Jednogłośnie przyjęto uchwałą Rady, że wysokość składek członkowskich może być zadeklarowana przez członka Polskiej Macierzy Szkolnej w dowolnej wysokości z tym, że minimalna składka miesięczna nie może być poniżej 1 szylinga. Na porządku dziennym znajdowały się również sprawy budżetu rocznego PMS oraz kooptacji 10 członków Rady reprezentujących ośrodki prowincjonalne. Sprawy te jednak po powzięciu uchwał treści ogólnej odroczone zostały do następnego posiedzenia Rady, które odbędzie się w październiku b. r.

Zatwierdzenie programu pracy oraz regulaminu wraz z ustaleniem wysokości składek pozwoli Zarządowi Głównemu przystąpić niezwłocznie do realizacji nakreślonych celów, a w pierwszym rzędzie umożliwi przyjmowanie członków i organizowanie Kół PMS.

Jak się dowiadujemy zebranie organizacyjne 4 Kół PMS na terenie zachodniego Londynu, tj. Ealing, Chiswick, Acton i Shepherds Bush — przy udziale prezesa Rady PMS, gen. W. Andersa — odbędzie się 17 lipca br. o godzinie 8 wieczorem w Ealing Town Hall.

Siedziba tymczasowa Polskiej Macierzy Szkolnej — c/o Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, 18. Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

SPROSTOWANIE

W notatce sprawozdawczej „Krytycy angielscy o powieści Pietrkiewicza" (wiersz 34) w nrze 28/316 ŻYCIA mylnie wydrukowano słowa „epizodów koniecznych" zamiast „epizodów komicznych".

AKADEMIK TARLE ATAKUJE WATYKAN

(Dokończenie ze str. 1)

nie trudno jest wzbudzić w nich niechęć do Kościoła katolickiego. Nastawienie takie jest w Rosji tradycyjne od wieków i było stale rozwijane przez propagandę caratu. Słynny podręcznik historii Iłowajskiego wpajał też w młodzież rosyjską przekonanie, że papież i kardynałowie rzymscy są zawsze wrogami Rosji. Autokracja państwa moskiewskiego i autokracja carów w prawosławiu, widziały w Watykanie, jak widzą to dziś władze Związku Sowieckiego, groźnego konkurenta w rządzeniu duszami, niezależnego wykładnika zasad, ograniczających ich władzę i samowolę. Walka prawosławia z katolicyzmem trwa od głębokiego średniowiecza — więc Rosja jest niestety terenem podatnym do przyjmowania wielkich oskarżeń rzucanych przeciwko Kościołowi katolickiemu.

Z bowiązku pełnej lojalności, należy przyznać, że akademik Tarle ma rację, gdy wskazuje na Watykan, jako na jednego z głównych przeciwników komunizmu. Watykan od dawna wie, czym jest komunizm i rozumie, że ludzie miłujący wolność, muszą się przed komunizmem bronić. Czy znaczy to, że Watykan aprobuje wojny, krwiożercze metody walki, okrucieństwa i niszczenie ludności cywilnej?! Chyba nikt bardziej, niż Watykan, nie nawoływał do pokojowego załatwienia sporów, i gdy wojny już się toczyły, do humanitarnego ich prowadzenia. Watykan potępia w ogóle wszelką agresję, ubolewa nad wszelką walką zbrojną między ludźmi, lecz rozumie i wie, że obrona przed agresją musi być skuteczna, że gołymi rękami przeciw uzbrojonemu napastnikowi, świat pokojowy nie obroni się. Według zasad chrześcijańskich — nie należy wojować mieczem; oczywiście zasada ta odnosi się przede wszystkim do postawy duchowej człowieka w życiu indywidualnym. Nie może ona oznaczać jednak podania się bez walki całych społeczności siłom napastniczym, siłom zła, gdyż wtedy należałoby z góry sobie powiedzieć, że świat ma być rządzony zawsze przez te siły zła. Bolejąc nad złem, lecz ze zrozumieniem koniecznej i skutecznej przed nim obrony, Watykan uznaje walkę o sprawiedliwą sprawę. Gdy ludzie szli walczyć i ginąć da ogólnego dobra i słusznej sprawy, Kościół nie mógł odmówić im swego błogosławieństwa.

Akademik Tarle oskarża Watykan o popieranie integracji świata wolnego w obronie przed uniwersalizmem komunistycznym. Łączenie się wokoło Związku Sowieckiego na pewno nie byłoby, w jego mniemaniu, naruszeniem zasady suwerenności; łączenie się przeciw komunizmowi, na podstawie dobrowolnej zgody i równości praw narodów, uważa on za jaskrawe naruszenie ich suwerenności.

Kościół, w spełnianiu swej misji nadprzyrodzonej, nie może się identyfikować z żadną polityką, lecz jest zawsze skłonny popierać dążenia do jedności i do pokojowej współpracy narodów, oparte na zasadach miłości bliźniego, miłosierdzia i poszanowaniu praw człowieka, łączących się w jednym określeniu — moralności chrześcijańskiej, czy to w życiu jednostki czy państwa, czy społeczności międzynarodowej. Dlatego związki międzynarodowe integracyjne, które tym warunkom moralności chrześcijańskiej odpowiadają, mogą znaleźć poparcie Watykanu, a totalizmy państwowe i międzynarodowe, poparcia tego nie znajdą. W ten sposób, rzeczywiście ma rację akademik Tarle, jeżeli widzi w Watykanie przeciwnika totalizmu moskiewskiego; ma rację, lecz nie powinien szukać powodów tego faktu tam, gdzie ich znaleźć nie można.

Dziwnym też może się wydać, że w obronie zasady, że „narody winny być arbitrami swych własnych losów", występuje rzecznik państwa, które w praktyce zaprzecza praw do niepodległości wielu państwom, nad którymi panuje siłą. Czy nie dostrzega akademik Tarle faktu, że łamie prawo suwerenności Polski, Czechosłowacji i wielu innych państw — nie Ameryka, lecz właśnie przecież Związek Sowiecki. Czy nie było naruszeniem suwerenności Polski, gdy Stalin żądał w Jałcie narzucenia Polsce rządu posłusznego Moskwie? Rząd sowiecki uznaje widocznie faktyczne prawo suwerenności tylko dla siebie, a zaprzecza go innym państwom. Jeżeli więc chodzi o państwa pod jarzmem sowieckim, to oczywiście, sprawa jest prosta: trzyma się je de facto w zupełnej niewoli — twierdząc z całym spokojem, że „de jure" są zupełnie suwerenne!

Watykan zaś nawołuje do tego, by wytworzyła się sytuacja, w której formalna i zawodna gwarancja i obosieczna zasada suwerenności, stopniowo stały się niepotrzebne, zbędne, a to w miarę jak na skutek zastąpienia egoizmów narodowych, sprawiedliwym, chrześcijańskim, ogólno - ludzkim i międzynarodowym solidaryzmem. Nawoływania zaś w tym duchu Watykan łączy zawsze z życiową troską o to, by zbyt pośpieszne procesy, czy inicjatywy integracyjne, nie realizowały się z krzywdą słabszych członków wspólnoty międzynarodowej. Z błędnego koła suwerenności silnych i słabych społeczności państwowych, wyjście jest tylko jedno: rozsądna, stopniowa integracja, zbudowana na słusznym kompromisie interesów, na sprawiedliwości i poszanowaniu praw każdego narodu. Albo te warunki będą zrealizowane, albo trzeba będzie wyrzec się szerokiej integracji.

Rozważania akademika Tarle nad zagadnieniami polityki kolonialnej państw zachodnich, wymagałyby oddzielnego omówienia. Nie będziemy w niniejszych ramach tematu tego poruszali. Należy tylko i może wystarczy powiedzieć, że wszystkie wywody akademika Tarle, jeżeli chodzi o oskarżenie polityki Kościoła i w tej dziedzinie, zbudowane są na takich samych fantazyjnych przesłankach, jak wyżej omówione. Natomiast w ogóle nie można mówić o zarzutach wysuwanych przez akademika Tarle, co do administracji kolonialnych państw zachodnich bez porównywania ich z polityką kolonialną rządu moskiewskiego, gdyż przecież nie jest istotnym czy kolonie są zamorskie, czy łączą się terytorialnie ze swymi metropoliami. Tego rodzaju porównania w artykule akademika Tarle nie znajdujemy.

Jakie wnioski ogólne możnaby sformułować po zapoznaniu się z argumentacją, rozwiniętą w omawianym artykule przez akademika sowieckiego? Dlaczego akademik Tarle artykuł ten napisał? Wszak w Moskwie nic się nie publikuje bez konkretnego politycznego celu — nie ma tam „sztuki dla sztuki". Wydaje się, że wnioski te sformułować można w sposób następujący:

Polityka komunizmu uważa za proces niezmiernie dla siebie niebezpieczny integrowanie się świata zachodniego w ogóle, a w szczególności łączenie się państw wolnych wokoło Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Coraz bardziej staje się jednak widocznym, że integracja taka uzależniona jest od wytworzenia się pewnych podstaw, możliwie jednolitego, światopoglądu moralno-prawnego.

W chwili obecnej nie ma żadnej innej tego rodzaju powszechnej podstawy moralno-ideologicznej, jak tylko chrześcijański solidaryzm, którego szermierzem jest Watykan.

Tezy Kościoła katolickiego o życiu gromadnym ludzkości stanowią dla komunizmu istotną przeszkodę na drodze do realizowania jego celów i dlatego Moskwa z całą świadomością i bezwzględnością zwalcza Watykan, a w braku istotnych argumentów, ucieka się do nieprawdopodobnych oskarżeń, sofistycznych rozumowań i niewybrednych napaści.

F. Frankowski

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9134. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//). wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leeandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA. miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (22) Quakenbrück, Schiphorst 2 i St. Mikieluk, (13 B) München 54 Seehamerstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 4c Lund Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83 East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 503, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.